

adam 'łański' polański

wędrowanie

Indianerskie wędrowanie



Dziwnym trafem temat dość odległych wydarzeń zaczyna w ostatnich dniach powracać do mnie z zaskakującą częstotliwością. Najpierw został wywołany przez jedną z moich przyjaciółek w trakcie krótkiej podróży samochodem, kiedy to powinno się rozmawiać o mało istotnych sprawach, a zaraz potem przez kolejną, w jak zwykle elektryzującej pogawędce internetowej. Dochodzę więc do wniosku, że czas się zmierzyć z tematem bardzo już dalekim i pokrytym solidną warstwą kurzu, który z racji swej odległości popada gdzieś pomiędzy baśń, a senną fantazję.

Jakiś czas temu, dla mnie prawie oka mgnienie wstecz, otarłem się o ruch indianerski w naszym kraju, a nawet na podstawie mojego ówczesnego zaangażowania mogę napisać, że chciałem w niego wsiąknąć całkowicie. Z całym szacunkiem dla wszystkich ludzi żyjących nadal w duchu kultury Indian, którą nadal szczerze podziwiam i ich pasji życiowej cenionej przeze mnie, jak każda inna pozytywna życiowa kręcioła, będę się posługiwał określeniem indianerski, bardziej pasującym do ducha tamtejszych dziwnych czasów. Były to lata, gdy kiepsko żyło się w kraju nad Wisłą, szaro i nijako z jedną słuszną linią prawie zgodnego myślenia, o której nikt nie myślał dobrze i zgodnie, chyba nawet jej twórcy i strażnicy, choć ci ostatni potrafili być bardzo dotkliwi w kontaktach ze zwykłym obywatelem, a z obywatelem indianerskim – nawet okrutni. I to w zasadzie bardzo nas zbliżało do Indian, podobnie jak my tępionych i gnojonych, często niesłusznie oskarżanych i wsadzanych do więzień na długie lata za sprawą sfingowanych procesów, albo wątpliwych dowodów. Współczułem wojownikom indiańskich bojówek, z wypiekami słuchołem opowieści o kolejnych masakrach i wysiedleniach porównując do naszych wydarzeń stanu wojennego, grudnia 1970 roku, albo wcześniej do okupacji, zaborów i jakże bardzo wyraźnie czułem się bratem tamtych prześladowanych Czerwonoskórych, jakby naszych rodaków. I było też życie w zgodzie z Matką Naturą w poszanowaniu Jej praw, w pokłonie nad Jej mądrością, co pozostało mi do dziś i niechaj trwa nadal. Ale były także kontakty wewnątrz plemienne, czyli wyjazdy na zloty, albo po prostu spotkania biwakowe, gdzieś w głuszy naszej rzepińskiej puszczy lub jakimkolwiek innym, byle poza miejskim kawałku mazurskiego, albo bieszczadzkiego mactecznika. Obecnie takie spotkania mają dość hermetyczny i raczej monotematyczny klimat,

ale wtedy były prawdziwym tygłem kultur, poglądów, ideałów i wierzeń, albo całkowitej niewiary sprowadzającej się do poszukiwań wiary u innych. Przybywali na nie prawdziwi ortodoksi ruchu zakorzeni w kulturze Indian niż sami Indianie, poszukiwacze przygód i swojej życiowej drogi drążący każdy temat i wiecznie wszystkiego ciekawi, nad wyraz gadatliwi i dotkliwie dociekliwi. Zjawiali się całkowici nowicjusze chcący przejść kolejne życiowe wtajemniczenie, ostrożni i nieufni przyglądali się wszystkiemu z dystansem wiecznie czekając na zaproszenie do dyskusji, do śpiewu, albo tańca. Trafiały się też zabłąkane dusze przypadkowo wyciągnięte przez znajomych na wyprawę w nieznaną, którym wszystko było obojętne, czy są tam dwa dni, czy też siedem, byle być w czasie wakacji lub podobnej przerwy w normalnych zajęciach poza domem, aby zabić nudę czymkolwiek. Pośród tych grupami gościli również wędrowcy i adepci sztuki wędrowania, którzy zbierali pieczołowicie kurz z kolejnej wyprawy i wylepiali nim ściany chat przydrożnych, w których często przychodziło im nocować lub zimować. Pomięte peleryny osłaniały tylko częściowo przed deszczem nieufnych spojrzeń kobiet w wioskach wybieranych przez los na gościnę. Mężczyźni zaś chętnie częstowali ich papierosem i wódką tęskniąc skrycie za wolnością wyborów i tajemnicą drogi, którą sami sobie zapętlili dorzucając ciężar codzienności. Wędrowanie przez życie niczym moje ukochane żeglowanie pociągało mnie w kierunku tej grupy, która tak naprawdę nigdy nie wiązała ludzi żyjących w podobny sposób, niczego nie narzucała, nie tworzyła kodeksów ani etykiety. Zagłębiając się w ruch etniczny, tak naprawdę oddalałem się od niego, czego wówczas nie dostrzegałem, a wyraźnie widział te zmiany mój wielki przyjaciel i brat tej wędrowki Tropicielec, który przyjmował mnie do wspólnoty i jemu zawdzięczam swoje imię.

Las szumiał bardzo niespokojnie, bukowy ciemny i wiecznie mokry sprawiał wrażenie przastarego, pierwotnego serca puszczy – matecznika, który był na wieki przed nami i będzie całą wieczność po nas. Kocham bukowe lasy, które wiosną zawsze mnie zaskakują eksplozją zieleni i siły życia. Z bukami jest tak, że czekają z rozwinięciem liści na przynajmniej dwie ciepłe i duszne wiosenne noce, aby tuż przed świtem eksplodować wszystkimi pąkami i zadziwić wschodzące słońce swoją soczystą zielenią. Kolejny cud Natury, którego uczyłem się doświadczać w puszczańskim mateczniku; „w godzinie świętego odrodzenia życia pokłaniam się tobie Lesie Bukowy i proszę o ochronę przed słowem wrogim i zawiścią nierozumiejących i zagubionych. Nie pozwól na mój płacz nad śmiercią – koleją ustalonego losu, ale daj siłę, by zbudzić umarłych za życia”, szeptałem w skupieniu zbierając chrust

do ogniska, które płonąć musiało przez cały czas naszego pobytu na wyprawie. W dolinie szumiał niewielki potok tworzący kilka kilometrów dalej po wypłynięciu z leśnych ostępów sporą rzeczkę obfitującą w ryby. Tutaj był ledwie struga, z której mogliśmy czerpać wodę i napełniać bukłaki. Biwakowaliśmy już drugi dzień spędzając czas głównie na suszeniu ubrań i dobytku po ulewie jakiej doświadczyliśmy w drodze na miejsce spotkania, a nadchodząca noc miała być szczególna, gdyż kończyła okres próby, po którym miałem z dwójką przyjaciół zostać przyjęty do indiańskiej wspólnoty. Czułem całkowity spokój, wszystko biegło swoim torem, nic nie było w stanie mnie zaskoczyć, byłem gotowy. Z otwartym umysłem i oczami wspomagającymi zmysły czekałem na wieczór doglądając ognia. Przed zmrokiem przygotowaliśmy nasze posłania przy ogniu i umazaliśmy gliną twarze i ręce. Czekaliśmy na zaproszenie starszyny, która zgromadziła się w namiocie naszego przewodnika Tropiciecia. Jako pierwszy stawiłem się przed radą, aby potwierdzić, że mam czyste serce. Zapytano mnie o kilka spraw związanych z moim dotychczasowym życiem i przebytą drogą, oraz dalszą wędrówką, po czym usłyszałem od Tropiciecia: jesteś wolnym człowiekiem i wolność potrafisz doceniać niczym orzeł przemierzający bezkresne nieba błękity. Twój duch wzywa cię do drogi, która może nie mieć końca. W swoim wędrowaniu przemierzysz wiele szlaków, spotkasz wielu ludzi dobrych i złych, będziesz cierpieć niewygodę, ale dostąpisz zaszczytu obcowania z pięknem przeznaczonym wyłącznie dla twoich oczu, gdyż tylko ty będziesz potrafił dostrzec, to co oferuje nam Natura. Obmyj twarz z brudów dotychczasowej podróży. Od dzisiaj Orzeł będzie twoim Bratem, Ziemia twoją Matką, Wiatr oddechem, Woda świętą rzeką popłynie w tobie, a ze Słońcem sprzymierz swojego ducha. Będziesz nosił imię...

Pojawiając się na kolejnym zlocie nie byłem nowicjuszem i znałem wielu spośród gromadzących się przybyszów. Byłem wędrowcem, którego zapraszano do ognia na chwilę wytchnienia i opowiedzenia o czasie minionym od ostatniego spotkania, do powiedzenia wiersza, który narodził się gdzieś na szlaku, do wypicia herbaty z kociołka podgrzewanego nad ogniskiem, do którego wpadały drobne paproszki popiołu podrywane psotnym wiatrem. Herbata zawsze była mocna, sypana i cierpka, bo cukier był dość deficytowy. Przepalaliśmy jej smak kolejnym papierosem, albo fajką, gdy na jej obrzęd byłem zapraszany. Nawet sam chciałem zrobić swoją fajkę, tylko nie miałbym z kim jej wypalić na szlakach mojej wędrówki. Wolałem więc przysiąść się do ognia przyjaciół. Rozmawialiśmy zawsze długo w skupieniu wysłuchując innych, albo milczeliśmy, gdy wiele zostało powiedziane. Czasem zasypialiśmy przy ogniu mając peleryny wyświechtane za posłanie i kawał szczapy pod gło-

wą; jakże gwiazdy wisiały wtedy nisko na niebie. Ktoś się przytulił, gdy noc była zbyt zimna na samotność bez żadnych zobowiązań na wspólne śniadanie, albo szybko wstać trzeba było przed świtem, bo tak pięknie jelenie ryczeć zaczynały, lub żurawie tokowały. Czas mierzalny nie miał żadnego znaczenia, życie biegło w swoich rytmach żadnym zegarkiem nie poganiane. Początek spotkania bębny obwieszczały donośnymi rytмами, w które wplatały się grzechotki i zawodzenie pieśniarza. Przy dwóch – trzech ogromnych bębnach obciążonych porządną skórą zasiadali po kilku naraz bębniarze z pałeczkami. Dokładano do ognia więcej drewna, aby płomienie wysokimi jęzorami przebijały się przez czerń nocy i oświetlały plac wokół dla tancerzy przeznaczony, którzy wirowali w rytm konkretnych pieśni, lub dla wszystkich z ogniem w tańcu się bratających.

Bębniarze na zmianę wybijali rytm od poranka przez cały dzień, aż do wieczornego spotkania, gdy tylko na moment przestali, w czasie zachodu z szacunkiem odprowadzając w ciszy ostatnie słoneczne promienie za horyzont. Potem bębny rozbrzmiały z nową mocą poruszając swoim rytmem całe obozowisko. Dosiadłem się do ognia grubo po zmroku, bo zagadałem się w tipi u przyjaciół, których nie widziałem od przynajmniej roku, tyle mieliśmy jak zwykle do opowiedzenia, a oni spodziewali się powiększenia rodziny, co mnie zaskoczyło i zaniepokoiło trochę, jednak widząc ich miłość i spokój wyrównałem swoje nastroje. Bębny pobudzały rzucając wyzwanie kolejnym tancerzom zaczynającym wirować wokół ognia, który błyskał i przyzywał, nęcił ciepłem i tajemnicą, kusił wyzwoleniem i oczyszczeniem. Zostawiłem pelerynę na ziemi niedaleko starego pniaka, którego przewidując upatrzyłem sobie na poduszkę i dołączyłem do tancerzy wirujących wokół świętych płomieni. Najpierw w spokojnych ruchach przemieściłem się przez ostatni rok mojej włóczędzy, podziękowałem za szczęście wędrowania, bębny jak na zawołanie grały spokojnie i nostalgicznie, akuratanie do wspomnień. Potem przyspieszyły rytm w pieśni wilka, gdy zaczynałem się skradać do kolejnego wyzwania, obserwowałem kalkulowałem siły i ruszyłem przez leśne ostępy, coraz szybciej i dalej, i głębiej w matecznik. Do rytmicznego dudnienia dołączyli pieśniarze sławiący wiatr i słońce, ruchy stawały się płynniejsze. Wzbijany stopami tancerzy kurz odgradził nas delikatną ścianą od obozowiska. Docierałem do centrum wszechświata mijając kolejne gwiazdy drogi mlecznej i czarne dziury. Zostawiłem pod sobą resztki ziemskiego bytu, gdy zdecydowałem się rozprostować szeroko ramiona niczym skrzydła i wznieść się w otoczeniu gwiazd wyrzucanych przez pulsujący środek wszystkiego wiecznego jeszcze wyżej i dalej. Kurz oblepiał spocone ramiona i torsy mieniące się czerwienią płomieni, wiru-

jące bez wytchnienia. Czas ponownie nie stanowił o żadnych ograniczeniach, zatrzymał się. Bębny dudniły, podnosił się puls i zacierał obraz. Otwierały się oczy duszy, która pozbywała się resztek ludzkiego bytu i ogarniała spokojem wszystko, co było i będzie w jedną całość zamkniętą pomiędzy wschodem i zachodem słońca, pomiędzy przypływem i odpływem, odwiecznym falowaniem i łez spadaniem tuż przed pożegnaniem.

- Wywołałaś temat Indian i bębnów, i siedzę nad takim tekstem.
- Mhmhm... zapowiada się fajnie.
- Chyba, że chcesz towarzyszyć przy pisaniu.
- Nie, ja chcę zobaczyć ukończone dzieło.
- Chcę go, jak będzie.

Otulony kocem powoli wracałem zmysłami do swojego ciała skulonego na pelerynie przy starym pniaku. Słońce było dość wysoko, dochodziło do zenitu, bębny nieustannie wygrywały rytm nieco tylko spokojniejszy niż nocą. Wokół ognia wirowały nadal cienie Wielkiego Ptaka, Wilka i Cichego Rysia niezmordowanych po tańcu w ciągu całej nocy. Byli gdzieś bardzo daleko, być może nawet w świecie przodków, albo jeszcze dalej. Wyciągnąłem się na skorupie żółwia niosącego świat uroczy i ponownie przymknąłem powieki. Trwałem tak przez chwilę zbierając myśli rozrzucone po wszechświecie i polanie obozowiska, aż cień przesłonił słońce. Usiadłem zebrawszy swoje moce i dostrzegłem kubek z wodą podsuwany mi pod usta. Przy pierwszym łyku poczułem, jak bardzo są spieczone nocnym wysiłkiem. W gardle zaklinowała się szczotka ryżowa i nie chciała przepuścić ani kropli płynu połykanego z mozołem. Czyjaś dłoń delikatnie zebrała moje włosy odgarniając z twarzy ostatni splątany kosmyk. Potem przetarła mi twarz wilgotną apaszką i mogłem dojrzeć zielone oczy mojej opiekunki. Siedziała przy mnie z podkulonymi nogami skrytymi pod długą spódnicą wyszywaną niebieskimi znakami w białych obwódkach. Szerokie rękawy jej bluzki delikatnie falowały wraz z licznymi frędzlami, na które gdzieniegdzie nawleczony był zielony albo niebieski koralik. Nie zwracając uwagi na moją nagość podała flanelową koszulę i pomogła ją włożyć. Na spodnie nie miałem siły sprawdziłem jedynie, czy nadal mam pas w szlufkach i nóż przytroczony do niego. Wszystko było w porządku, więc zmusiłem się do pociągnięcia jeszcze jednego łyku wody i położyłem głowę na jej kolanach. Wygładziła moje włosy i osło-

niła twarz rękawem przed ostrym słońcem. Kiedy pochylała się, aby lepiej mnie okryć kocem lub delikatnie zmienić siedzącą pozycję jej warkocz muskał mnie po twarzy. Pachniała bratkami i rumiankami, albo skoszonym w lipcu sianem, była balsamem i wytchnieniem. Nie musiałem o nic pytać, choć i tak nie mogłem mówić, poznałem wszystkie odpowiedzi na moje pytania zawarte w jednym jej geście, gdy zakryła mi delikatnie dłońią usta spostrzegając, że jednak chcę o coś zapytać. Powoli przeczesywała palcami moje włosy zbierając je na swoje kolana. Dopiero wówczas poczułem, że rozluźniają się mocno napięte mięśnie karku, że odpuszcza napięcie w barkach i jak swobodnie opadają wzdłuż ciała ręce. Ponownie zasypiałem delikatnie kołtasy.

Obudziłem się z kapeluszem na twarzy leżąc w poprzek legowiska. Przy mnie nie było nikogo, bębny dudniły monotonnie przywołując do ognia nową zmianę tancerzy, a słońce obniżało się nad pobliski świerkowy las po zachodniej stronie. Zauważyłem, że poza koszulą i kapeluszem nie mam nic więcej na sobie. Pozbierałem swoje ubranie i doprowadziłem się do jako takiego porządku, po czym zwinąłem pośłanie i poszedłem do namiotu przyjaciół na kubek orzeźwiającej herbaty. Idąc niespiesznie rozglądałem się za moją opiekunką, której nigdzie nie dostrzegałem. Spytałem o nią przyjaciół, nikogo takiego ponoć nie widzieli. Po dokładnym opisie postaci podpowiadali, że mogła być z grupą, która wyjechała zaraz po południu. Dopiłem napoju i skompletowałem swoje manatki, narzuciłem na ramiona płaszcz, potem plecak szykując się do drogi. Krótkie pożegnanie i wędrowałem, albo poszukiwałem, a bębny grały dalej. W kolejnych nawrotach, przez ponad dziesięciolecie wracałem latem na tę samą polanę w nadziei spotkania zielonookiej istoty, która podała mi kilka łyków źródlanej wody, bezskutecznie. Choć, może raz jeszcze któregoś lipcowego poranka przez chwilę zamajaczyła w oddali na skraju polany, gdy mgły tuż po świcie podnosiły się znad rzeki. Mimo, że miała rozpuszczone jasne włosy poznałem jej zielone jak wiosenny las bukowy oczy.

Wędrujący Orzeł

rozdział 2

Jaryłowe



Zaczynałem ponownie odczuwać ten specyficzny niepokój, który gnał mnie rokrocznie w okolice opuszczonej starej osady ukrytej w niższym, zachodnim paśmie gór pomiędzy gęstymi borami. Mateczne siedlisko przyzywało na święto Tego, który pokrywa pola trawą, a lasy liśćmi; płody pola, lasu i wszystkie inne rzeczy użyteczne ludziom są w Jego mocy. Wyruszałem z nową nadzieją spotkania zielonookiej opiekunki sprzed lat.

Skompletowanie ekwipunku nie zajmowało nigdy zbyt wiele czasu, zawsze byłem gotowy do drogi, jak lubiła mawiać moja matka, która od moich pierwszych kroków postawionych samodzielnie nad wyraz szybko, przewidywała dla mnie los wędrowca. Zbierając się do opuszczenia przytulnej zimowej gościny w jej domu posadowionym na skraju niewielkiego miasteczka przy trakcie handlowym, wywoływałem niechcący dostrzegalne zamieszanie w całym obejściu. Nie lubiłem tego i w momencie chciałem się usunąć wszystkim z oczu. Spakowany do drogi przysiadłem na ławeczce pod rozłożystą jabłonią obsypaną kwiecieniczym zimowym puchem. Pszczoły pracowicie oblatywały kolejne kwiaty spijając słodycz uwalnianą w białych kielichach, której zapach roznosił się po okolicy wabiąc kolejne robotnice. Ogarniałem wzrokiem niewielki dom z czerwonym dachem i zacienioną różaną weranda, ogród z zadbanym zielnikiem przygotowanym pod nową uprawę roślin, które służyły matce do wyrobu naparów, nalewek i mieszanek przywracających siły w czasie zimowej niemocy. Była znaną i szanowaną w okolicy zielarką, do której nie raz, nawet w jesiennej plusze ustawiała się spora kolejka nie mieszcząca się w obszernym ganku przed zielarnią i pozostałymi izbami domostwa. Niekiedy były to spotkania towarzyskie znajomych z okolicy lub forum dyskusyjne, do którego chętnie dołączałem o ile gościłem w domu rodzinnym. Ojciec wynosił czasem flaszkę miodówki i częstował zziębniętych, albo kichających, polecając na przeziębienia swoje miody gromadzone pieczołowicie z całkiem sporej pasieki, której produkty utrzymywały bezpieczeństwo domowego budżetu. Lubił przy tym powtarzać, że rozkręca rodzinny interes na czas, gdy wreszcie znudzi mi się ciągłe po świecie wędrowanie i sam nie wierzył w swoje słowa, bo czasem podsuwał pomysły nowych wypraw oczekując szczegółowych relacji po powrocie, albo stawał po mojej stronie, gdy matka protestowała przeciw nowej długotrwałej włóczędze w nieznanne. Urocze były wtedy ich spory, w których

matka zżymała się na ciągłą moją nieobecność zarzucając ojcu przyczynę tego stanu, że nigdy mnie od wędrowki nie odwodził, nie był nazbyt stanowczy, a nawet podjudzał do nowych wyzwań. Sama zaś w skrytości ducha równie mocno sprzyjała moim wyprawom, cieszyła się, gdy wracałem, ale i często prosiła abym przyniósł jej z jakiegoś zakątka, do którego się wybierałem, miejscowy specyfik lub zioło nieosiągalne w naszym regionie.

Teraz przyszła do mnie od strony różanego tarasu, który dopiero za kilka miesięcy zajśnieje swoim pełnym pięknem i podała niewielkie zawiniątko. Nie musiałem pytać o zawartość, doskonale wiedziałem, co mieściło się pod skórzanym okryciem. Zestaw niezbędnych ziół na wzmocnienie i niewielka złota moneta mająca mnie chronić przed niebezpieczeństwami, a także skrytymi wrogami niczym lśniąca słoneczna tarcza Tego, na którego przybycie czekamy. Poprawiłem długi płaszcz i kapelusz sprawdzając ekwipunek, po czym przyjąłem błogosławienie i skinieniem pożegnałem starszego mężczyznę odprowadzającego mnie wzrokiem do granic posesji. Kierując się na zachód ponownie po zimowej przerwie byłem w drodze, a z każdym krokiem nabierałem ochoty na życie i wędrowanie, któremu zawsze towarzyszyli skrzydlaci śpiewacy dopiero co powracający z zimowisk, a już tak bardzo rozkrzyczani. Słońce nie osiągnęło jeszcze zenitu, gdy dotarłem do granicy puszczy, gdzie zatrzymałem się na łyk wody. Z tego miejsca rozciągał się wspaniały widok na okolicę i domostwa w dolince, z których wyruszyłem, a teraz żegnałem się tuż przed wkroczeniem do królestwa lasu. Tradycyjnie pokłoniłem się w hołdzie Naturze przed wejściem na jej wyłączny teren wznosząc przed siebie na cztery strony świata swoją łaskę wędrowca z ozdobną głownią Trygława i zanurzyłem się w odradzającej zieleni. Wybrałem jedną ze zwierzęcych ścieżek ledwie dostrzegalną pośród gęstego podszycia i powędrowałem w górę stoku omijając strumień i stare cmentarzysko. Po południu wyszukałem niewielką polanę pośród świerkowiny, gdzie rozłożyłem się z niewielkim obozem na odpoczynek i skromny posiłek składający się z kawałka chleba i suszonego płata ryby. Zanim słońce opuściło się nad wzniesienie, na które się wspinałem, byłem już w dalszej drodze i tak aż do zmierzchu, gdy dotarłem do niewielkiego wąwozu, w którym wyszukałem sporą niszę pod rozłożystym korzeniem potężnego świerka rosnącego na jego skraju, w której postanowiłem spędzić noc. Nie było potrzeby zapalania ognia zabezpieczyłem tylko swój ekwipunek przed ewentualnym deszczem, którego i tak się nie spodziewałem, ale przezornie dokonałem tych czynności moszcząc sobie poślanie na suchym piachu bezpośrednio pod okapem z korzeni. Zapadła pozorną cisza, a ja zanurzałem się w spokojny sen przychodzący po trudach wędrowki.

W dalszą drogę wyruszyłem jeszcze przed świtem obudzony niespokojnym skrzekiem sójki czymś spłoszonej w okolicy. Noc była ciepła i na taką czekałem. Następną powinna być równie ciepła i wilgotna w głębokiej puszczy bukowej, do której zmierzałem. Po przejściu wzniesienia, skierowałem się bardziej na południe, ku rozległej wyżynie widocznej jeszcze nadal jako brunatna płatanina gałęzi, konarów i grubych pniaków. W centrum tej górskiej głuszy było stare grodziszcze przyciągające po roztopach tak jak i mnie wielu wędrowców i pielgrzymów, nawet z dalekiej północy. Już niedługo wszystko się zmieni, pomyślałem kierując się w stronę gęstych bukowych zarośli, a następnie do matecznika pierwotnej puszczy. Trzymając się nadal z dala od najbliższego strumienia, przystanek południowy zrobiłem kilka mil od starej osady. Posilony i wypoczęty na długo przed zmierzchem wchodziłem w ruiny dawnych domostw budowanych z ciosanego kamienia wydobywanego w okolicznych wyrobiskach. W tych stronach materiału budowlanego nigdy nie brakowało, stąd nikt się nie interesował pozostawionymi na pastwę puszczy ruinami. Nikt poza wędrowcami przybywającymi w to miejsce każdego roku, pośród których rozpoznawałem znajomych z licznych wspólnych wypraw lub tylko takich mijanych, gdzieś bez słowa, a jedynie ze skinieniem głowy na szlaku. Przybyli też starsi w białych płóciennych szatach, z pomocnikami i uczniami, którzy zajmowali się rozstawianiem konstrukcji pała ogniowego. Wyszukiwałem wśród gromadzących się postaci niewielkiego mężczyzny w podobnym do mojego brunatnym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem ozdobionym orlim piórem zabarwionym na czerwono. Jeszcze nie przyszedł, pomyślałem i zbliżyłem się do sporego namiotu posiadającego charakterystyczne trójkowe znaki przy płóciennej klapie wejścia. Zanim zdołałem zajrzeć do wnętrza poczułem czyjąś dłoń na moim ramieniu. To właściciel prowizorycznego domostwa próbował zatrzymać nierozpoznanego intruza przed wtargnięciem w pielesze. Odwracając się frontem domyślałem się kogo ujrzę, dla niego byłem jednak lekkim zaskoczeniem, lecz zaraz po tej chwili niepewności przywitaliśmy się bardzo serdecznie. Wywołana naszym śmiechem, natychmiast w wejściu do namiotu pojawiła się towarzyszka jego życiowej wędrowki i tym razem ku mojemu zaskoczeniu, jak się potem okazało z kilkuletnim chłopczykiem trzymanym za rękę. Uścisnęliśmy się ze wzruszeniem, po czym zasiedliśmy do obowiązkowej herbaty, jak zwykle z kociołka podgrzewanego na ogniu i oczywiście bezlitośnie mocnej i cierpkiej, choć cukier dawno już przestał być towarem deficytowym, nawet w takiej głuszy. W krótkich opowieściach przerywanych częstym śmiechem relacjonowaliśmy czas minionych kilku lat od naszego ostatniego spotkania. Zmian było wiele, zwłaszcza u nich,

bo u mnie raczej tylko kolejne samotnie przemierzane szlaki i dwa odkrycia, że przejście południowym szlakiem i grzbietem najwyższych gór do sąsiadów zimą jest raczej niemożliwe z lekkim ekwipunkiem, co potwierdzały niedawno zagojone odmrożenia na moich stopach, oraz że ojczulo z matulą robią najlepszą na świecie miodówkę, którą mogłem poczęstować przyjaciół dolewając odrobinę do stygnącej herbaty. Przy rozmowie nie zauważyliśmy, kiedy zaczęło zmierzchać i zapadł zmrok. Wyszliśmy na plac centralny grodziska mijając porostawiane liczne namioty i biwakowiska. Było całkiem sporo przybyszów, których mowa czasem dość znacznie się różniła, czyli przybyła nawet zagranica i to nie tylko najbliżsi sąsiedzi. Wsłuchując się w gwar rozpoznawałem słowa z języka ludów dalekiej północy, a nawet dalej zza zimnego morza. Poznać też ich było po strojach futrzanych zdobionych kutym srebrem i wzorami mitycznych smoków, to synowie Odyna przybyli w gościnę do Słowian. Rozglądałem się jednak za wcześniej poszukiwaną postacią i tą, której nie widziałem od lat. Nie uszło to uwadze mojego towarzysza, któremu na pytanie, czy nadal szukam swojej zielonookiej piastunki, odpowiedziałem jedynie skinieniem. Przechodząc obok wielkich kamieni tworzących okrąg w około przygotowanej konstrukcji do odpalenia żywego ognia zauważyłem znajomą sylwetkę w kapeluszu z charakterystycznym piórem. Tropiciel dotarł szczęśliwie na miejsce spotkania. Gdy się witaliśmy zabrzmiały pierwsze bębny i grzechotki na przemian z tamburynami, rozpoczynały się uroczystości na centralnym placu osady pośrodku prastarej bukowej puszczy.

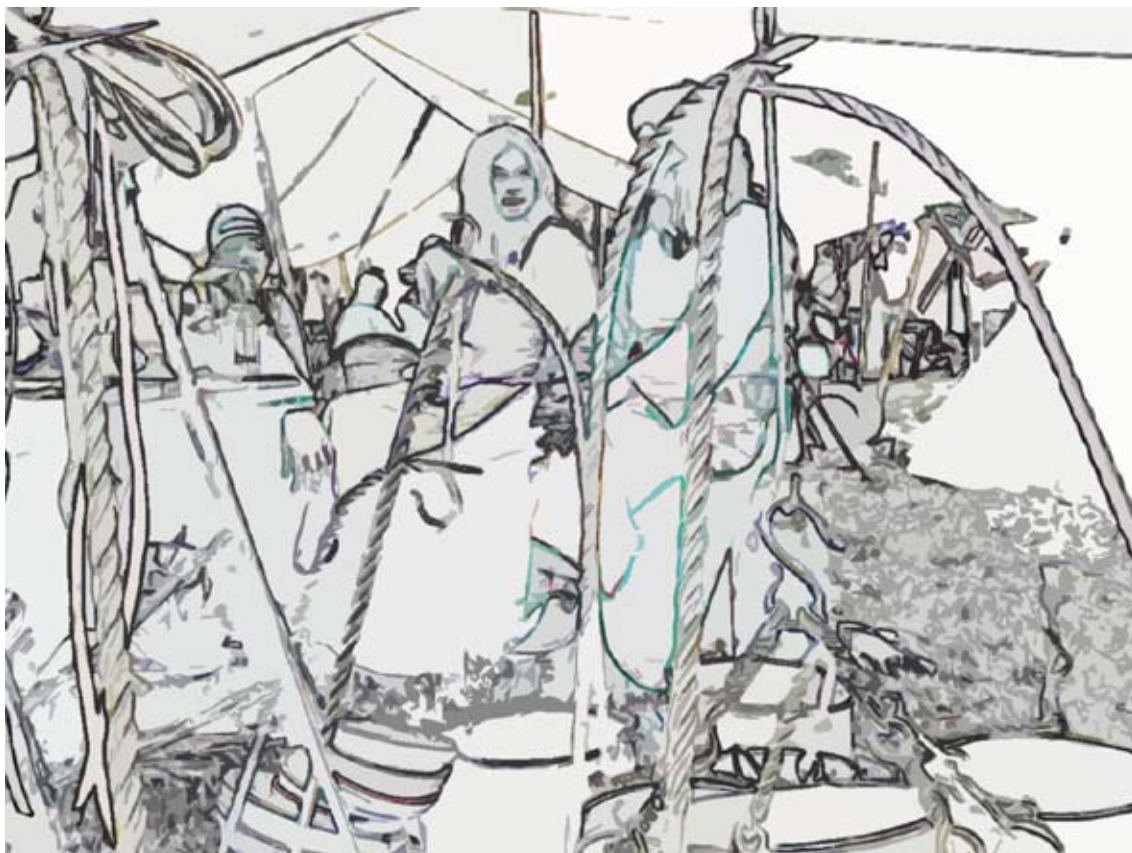
Rozsiedliśmy się wokół kamiennego kręgu, a w drogę z ust do ust ruszył puchar przedniego miodu dopełniany co chwilę, przez młode dziewczęta i chłopców z wieńcami z zazienieniałych witek brzoźowych na głowach. Podano również placki wypieczone na ostatnim ogniu tej zimy. Na plac w środek kręgu wszedł najstarszy z przewodników odziany w błękitną szatę z ciemnozieloną sukienną peleryną narzuconą na ramiona i spiętą na piersiach ozdobną klamrą w ornamentem jemioli. Obszerny kaptur osłaniał prawie całkowicie jego twarz, widoczne były jedynie kosmyki włosów odcinających się siwizną na tle ciemnego odzienia. Na jego znak wygaszono wszystkie ogniska w obrębie osady i zapadły prawie całkowite ciemności. Starzec odwrócił się do świdra ogniowego i począł obchodzić go zatrzymując się w kolejnych trzech wyznaczonych miejscach wznosząc przy tym zielną wiechę. Bębny nie przestawały dudnić rytmicznie, dołączyły się flety najpierw smutno zawodzące, a po kilku taktach przechodzące w radosną pieśń o wędrowcu, który po roku przybywa z podziemi w rodzinne strony, by odnowić i wzmocnić swoje plemię, dać siłę ruszającym do boju, czy

to przeciw wrogom ojcowizny, czy też tylko w życiowej potyczce z losem psotnikiem. Noc była zgodnie z przewidywaniami wyjątkowo ciepła i parna na terenie porośniętym wilgotnym bukowym lasem. Kilka metrów od granic osady przemykał z delikatnym szumem przez ciemności strumień pędzący w dół najbliższego stoku na rozległe niziny, odgradzając osadę od niebezpiecznego stromego zbocza. Świder zaczął się równomiernie obracać pociągany z dwóch stron linami przez nowicjuszy wirując ostrym końcem w drewnianej podkładce. Tak wprowadzany w ruch rozgrzewał podpałkę, aż pojawił się delikatny dymek, po czym rozdmuchano tłące się zarzewie do niewielkiego płomyczka, od którego następnie odpalono jako z żywego ognia centralne święte ognisko, które wkrótce rozjaśniło twarze wszystkich zgromadzonych. A było nas wielu wędrowców, poszukiwaczy starych szlaków, nawróconych i tych, którym zima doskwierała, a oczekiwali nadejścia wiosennej odmiany z wielkim niepokojem i nadzieją. Byli też pielgrzymi z wielu krain ze swoimi intencjami przybywający, aby wzmocnić siebie lub wyprosić łaski i moce na planowane wyzwania lub batalie życiowe, które przyjdzie im stoczyć tego lata, oraz nowicjusze, którzy posługiwali w trakcie ogniska roznosząc napoje i jadło, drwa dokładając, albo maluchy piastując. Las i stara osada ożywała na jedną noc każdego roku goszcząc taką gromadę. Pieśń intonowana przez śpiewaków zmieniała się ponownie w nawiedzone nastroje odbijające się głębokim echem po okolicy. Teraz można było odpalić od wiecznego płomienia ogniska w swoich namiotach i biwakowiskach, tak rozpoczynała się nocna uczta i wspólne zabawy przy ogniu trwająca przynajmniej do pierwszego brzasku, kiedy wszystko na chwilę ucichło w oczekiwaniu porannych ptasich trel i nadejścia Dokonującego Odmiany. Wtedy las zaczął szumieć niespokojnie, kołysał się i przyginał pod lekkim wiatrem bujającym wysoko w koronach, szeleścił coraz mocniej. Jaśniejące niebo odsłaniało swoje kurtyny dla wielkiego teatru Natury. Z każdą chwilą dostrzegałem coraz więcej zieleni pokrywającej przestrzeń między gałęziami, które prześwitywały pustkami jeszcze wieczorową porą. Jaśniejące niebo nad nami zamykane było przez pęczniejącą zielen bukowego sklepienia. Nadszedł kres zimy. Zawitał do domu Jarovit, a z nim siła życia i zieleni, dobre moce na całe lato do jesieni, nadzieja na dobre plony i wiara w zwycięstwo nad wszelkimi życia przeciwnościami. Z bębniami i fletami grającymi od nowa wszyscy zaczynaliśmy wtórować słowiańskiej pieśni:

Jarovit, Jarovit, Jarovit je nas pan.

S jeho silou v boji nikdo z nas neni sam!

Wity



Nocne uroczystości cichły wraz ze świtaniem i wznoszeniem się słońca nad okoliczne lasy. Światło buszowało pomiędzy soczystą zielenią młodych liści przebijając się smugami do skrytego w cieniu podszycia. Gwar z centralnego placu przeniósł się do mniejszych ognisk palących się przy namiotach pielgrzymów sennie pokładających się w swoich legowiskach blisko płomieni. Dla siebie poszukałem miejsca na skraju osady od strony strumienia na niewielkiej polance omiatanej wczesnymi promieniami wschodzącego słońca.

Mgły poranne podnosiły się znad strumienia i wzlatywały w niebo rozpraszając się pomiędzy gęstymi koronami. Naprzeciw mojego posłania, na samym skraju polany, tuż przy skarpcie ostro spadającej w dół do brzegów potoku, rosły dwie brzozy o imponujących rozmiarach jak na bukową gęstwinę. Przymuszczałem były pozostałością po osadnikach, tak jak i kilka jabłoni w centrum grodziska, urokliwie odbijające się bielą kory od ciemnego tła dalszej puszczy i ciemniejszą zielenią młodych liści. Oparłem się wygodnie o spory kamień pokryty znakami pisma, którego prawie nikt już nie potrafił odczytać i odszukałem flaszkę z ojcową miódówką pociągając łyk rozgrzewającej nalewki. Przyjemne ciepło zaczynało pulsować w trzewiach, przydałaby się jeszcze fajka z dobrym tytoniem, której jednak nie posiadałem. Wpadłem na pomysł, żeby rozpalić przy moim posłaniu niewielkie ognisko, o co natychmiast się postarałem gromadząc kilka gałęzi i przenosząc płonąca szczapę z dogasającego rytualnego paleniska do swojej niewielkiej watry. Żywe ciepło miło ogrzewało stopy marznące jakoś szybciej po nieprzyjemnej zimowej przygodzie. Dymek z mojego prywatnego sanktuarium unosił się prostopadle w górę ponad leśne sklepienie, gdzie rozwiewany był słabym południowym wiatrem. Przypomniałem sobie o zawiniątku podarowanym na drogę przez Matulę i wysuplałem z niego kilka szczypt aromatycznych ziół opruszając nimi ognisko. Po okolicy natychmiast rozniósł się zapach słonecznej łąki i skoszonego siana, który nagarniałem na siebie kapeluszem wraz z dymem ogniska. Jeszcze jedno pociągnięcie miódówki i byłbym prawie w środku lata, do którego mocno tęskniłem po długiej zimie. Układałem się do drzemki poprawiając posłanie i cieplejsze okrycie z futrzanego płaszcza niezbędnego o tej porze roku na wędrownie, nasunąłem głębiej na czoło kapelusz prawie zasypiając, gdy usłyszałem ciche śmiechy dochodzące z dołu wąwozu, znad brzegów stru-

mienia. Poprawiłem kapelusz i ułożyłem się na boku obserwując skraj polany, skąd chichoty dochodziły coraz wyraźniej przeplatając się z pojedynczymi słowami dźwięczącym bez wątpienia w żeńskiej tonacji. Głosy zbliżały się wraz z gęstym oparem podnoszącym się z wąwozu, który wzbijał się ponad krawędzie skarpy i leśnego podszycia, i odślonił pierwszą z przybyszek wychodzących na świat po zimowych mrokach. Smukłą sylwetkę okrywała zwiewna i mieniąca się niczym jedwab w kolorze nieba tkanina podobna do tuniki pozba-wionej rękawów, przewiązana złotym pasem zaznaczającym piękną dziewczęcą talię. Twarz nieco blada jaśniała promiennym uśmiechem, a w kasztanowych oczach odbijały się płomyki mojego niewielkiego ogniska, które jakby ją powstrzymywało od bliższego podejścia. Za-trzymała się na skraju skarpy przy jednej z brzóz i zakręciła wokół białego pniaka, po czym lśniące brązowe włosy delikatnie rozwiewane splotły się w gruby warkocz, który niczym żywa istota zawiązał się na jednej z gałęzi podciągając dziewczynę w górę z lekkim kołysa-niem. Zaśmiała się donośnie zdejmując niewielką lutnię z ramienia. W tym samym momen-cie z wąwozu wyłoniła się następna roześmiana dziewczęca postać z włosami mieniącymi się miedzianym odcieniem i o oczach jak niebo błękitnych. Jej suknia żółta z miedzianym pasem, do którego przytroczone były niewielkie dzwoneczki lśniła podobnym atłasem od-cinając powabną sylwetkę. Zatoczyła niewielkie koło wokół drugiej z brzóz i podobnie jak siostra na rudym warkoczu wspięła się na jej gałęzie bujając łagodnie jednym z konarów. Za nią pojawiła się trzecia z włosami jasnymi i płowiejącymi na słońcu, o oczach modrych i głę-bokich niczym w cembrowinie woda, z której złęgo można wyczarować dla panny młodej lub złudzenie dla młodego, za którym w studnię wskoczy. Zaśmiała się donośnie przekra-czając granicę lasu i mojej polany. Jej zielona sukienka jaśniała tęczą w porannych promie-niach, do których na chwilę twarz zwróciła mrużąc delikatnie oczy, po czym podeszła bliżej przyglądając się mojej postaci. W pół leżąc oparty na łokciu nie miałem w sobie żadnego strachu przed Wiłami przybyłymi z dna strumienia i serca Puszczy. Oczekiwałem na nie celowo sadowiąc się na polanie przy brzozach na skraju jaru, który był im zimowym do-mem. Znaki wyryte na głazie za moimi plecami przyzywały Rusały tajemnym zaklęciem nie obcym mojej wiedzy, które rozpoznałem od pierwszego wejrzenia, dla ignorantów jed-nak będącym nieczytelnym od wieków. Płowowłosa zaczęła tańczyć po okręgu pomiędzy dwoma brzozami, na których kołyszące się jej siostry skoczny rytm wygrywały na lutni i dzwoneczkach niczym cała orkiestra, do której dołączyła tańcząca przysiadając w centrum wydeptanego kręgu, na gęślach dogrywając ostatnie pieśni frazy. Zauroczony słuchołem

w wielkim skupieniu nie śmiać przerywać nawet najmniejszym gestem, skłoniłem się jednak nieznacznie w podzięcie za koncert niespodziewany i w pozdrowieniu. Po skończonej pieśni roześmiały się siostry śmiechem radosnym niosącym się po całej osadzie, jak mi się zdawało i zawirowały po okręgu trzymając się za ręce. Pod jedną z brzoź nowicjusze z naku starszych pozostawili wcześniej garniec wypełniony kwieciami śnieżyca, żółtego podbiału i fioletowych krokusów, który dopiero teraz odkryła rudowłosa z Rusał. Podniosła naczynie przed oczy i pokazała zawartość siostronom, a one dmuchnęły w środek dzbana podnosząc ręce i obracając się w miejscu wokół swojej osi. Z naczynia na ich zawołanie wyleciały kolorowe motyle rozpraszając się po okolicy niczym płatki poszarpanej tęczy. Prawie klasnąłem w dłonie z aprobaty powstrzymywany jedynie niewygodną pozycją, w której przyglądałem się niecodziennemu widowisku. Siostry wskoczyły na gałęzie bujając się radośnie, by po chwili szeptów między sobą wysłać pierwszą Kasztanową poza krąg w moją stronę. Podchodziła ostrożnie stąpając pomiędzy pierwiosnkami wybijającymi swoje główki ponad ziemię; niosła zapach tulipanów i niepewność losu. Przyjrzała się mojemu posłaniu i wyszeptwała w szybkim obrocie: „znajomy jesteś nam wędrowcze”, po czym przyklękła i spojrzała w moje oczy. Nie uciekłem wzrokiem zadając w myślach pytanie, na które dopiero Rudowłosa odpowiedziała po tanecznej wymianie na placu rusałowym z Kasztanową odchodzącą od mojego posłania. „Nasza siostra o oczach jak trawa rzeczna ciebie umiłowała”, śmiała się płasząc to tu, to tam przy moim kamieniu, jakby gwiazdy liczyła wskazywała na niebo i kamienie rozrzucone wokoło, po czym oddaliła się wskakując na swoje drzewo. Jej zapach kawy i czekolady pozostał na trawie buntując się przeciw moim ziołom dodawanym w kolejnej szczypcie do niewielkiego ognia. Zstąpiła z białego pnia i trzecia z sióstr płowowłosa w turkusowej poświacie powstałej od blasku jej szaty odbijającej promienie wschodzącego słońca. Zawirowała wokół mojego legowiska i przysiadła naprzeciw wyciągając w geście przywołania delikatne dłonie. Podałem swoje, które ujęła składając razem jak do modlitwy i wyszeptwała: „nasz ty jesteś, skoro ona cię pokochała i na jej życzenie chronić cię będziemy modlitwą do pana naszego Jaryły. Od strzał bolesnych i zatrutych cię obronimy, bo my je wszystkie nosimy”. Nawet nie zauważyłem, jak dołączyła do niej Kasztanowa mówiąca: „ wędrowania nigdy nie zakończysz dopóki ją kochasz prawdziwie i choćby jedną strofę o niej wypowiesz życzliwie”. „ Doczekasz się spotkania w godzinie odpowiedniej, za wierność nagrodzony. Przyjdiesz pośród bohaterów legiony, gdzie ona oczekiwać na ciebie będzie z dumą tej, której od urodzenia jesteś przeznaczony”, dokończyła Rudowłosa i wtem wszystkie zawirowały,

wskoczyły na drzewa i strzeliły jaskrawymi płomieniami w sklepienie lasu rozpraszając się wraz z ostatnimi oparami mgły wznoszącymi się ponad strumień, oraz skarpe wąwozu.

Nie spotkałem mojej zielonookiej opiekunki, ale nie byłem sam. Trzy Wiły wplotły się warkoczami w mój los wędrowcy, któremu dukt równy i suchy chleb był jedynym błogosławieństwem. „Moje panny opiekunki ukochane, otucha w wędrowaniu. Prowadźcie ku nowemu wyzwaniu”, szeptałem zbierając się do dalszej drogi, w czasie około południa, po tym niecodziennym spotkaniu.

Zielonooka



Wszystko działo się jakoś nie tak od początku tej wyprawy. Wiosenne zabezpieczenie w nowe ramki uli na ojcowskiej pasiece zajęło zbyt dużo czasu z powodu deszczu przeciągającego się na kilka kolejnych dni i tak efektem domina waliły się kolejne plany i terminy. Nie znosiłem gonić za uciekającym czasem i improwizowałem, aby doprowadzić do wyrównania swojej sytuacji, do prędkiego wyjścia na już spóźnioną wędrowną.

Czasami należałoby pewnie usiąść na chwilę i wstrzymać oddech, przeczekać nawałnicę lub zwyczajnie zwolnić, przyjrzeć się ze spokojem wszystkiemu i zastopować samonakręcanie. Przyznać trzeba, że nie za bardzo potrafiłem tego dokonać i nawet się nie starałem. Szlak otwierał się przede mną dopiero po kolejnej wiosennej nawałnicy, którą postanowiłem przeczekać w domu rodzinnym. Chciałem dotrzeć na niziny do osady przyjaciół i na ich zaproszenie zostać do nocy przesilenia letniego, jednak teraz ścigałem się z czasem aby zdążyć w ogóle na spotkanie myśląc, że kupalną nockę przyjdzie mi spędzić prawdopodobnie w drodze. Lekki ekwipunek nie ciążył tak bardzo, jak niedawny z wyprawy na stare grodziszczce. Ociepliło się na tyle, że mogłem zostawić w domu futrzany płaszcz i zabrać tylko ulubioną pelerynę z ciepłym kaftanem. Kilka mil za rodzinnym miasteczkiem, za pasmem pól uprawnych przekroczyłem granicę lasu pochylając się przed wejściem w pokorze przed Natury królestwem i dalej tak wybierałem drogę, aby trzymać się w cieniu Puszczy. Po dniu wędrowni moje góry zostawiałem daleko za sobą i śmiało kroczyłem na płaskie niziny pośród zmieniającego się lasu z gęstych bukowin na mieszane bory dębowe i sosnowe pachnące świeżą żywicą. Na pierwszy nocleg wybrałem niewielką polanę pod rozłożystym dębem majestatycznie rozpierającym się na skraju traktu kupieckiego, który pod koniec dnia wydawał się bezpieczniejszy od wąskich ścieżek pośród leśnego gęstowia. Sen niemal natychmiast mnie złożył tak, że nie rozpaliłem nawet najmniejszego ognia. Obudzony ptasimi trelami tuż przed świtem, wyruszałem niemal natychmiast do dalszej wędrowni zakładając przebycie tego dnia połowy z pozostałej drogi, co udało się z niemałym trudem i bez przerwy południowej, choćby na krótki odpoczynek. Nocowałem w okolicy stawów rybnych mieszczących się przy klasztorze zamieszkałym przez mnichów głoszących Nową Nadzieję. Znałem gościnność braciszków, z której nie raz już korzystałem, ale nie chciałem

tym razem nikogo fatygować jedynie na kilka godzin snu potrzebnego na regenerację sił przed kolejnym dniem wyprawy. Poza tym, na pewno nie wypuściliby mnie z powrotem na szlak bez opowieści o tym com porabiał i gdzie wędrował od ostatniej u nich wizyty. Postanowiłem zagościć na poczęstunek jakiś w murach klasztornych w drodze powrotnej, gdy czas nie będzie aż tak mnie poganiał. Tymczasem zasypiałem niedaleko grobli mając widok na masywne mury i wieżę klasztorną, za którą chował się srebrny księżyc.

Chłodny poranek równie szybko jak ptasie śpiewy wyrwał mnie do dalszej drogi. Obchodząc stawy jeszcze w szarówce poranka dotarłem do kolejnego zwartego kawałka boru sosnowego ciemniejącego w swej głębi za sprawą domieszki liściastej tworzącej gęste podszycie. Zszedłem z traktu kupieckiego i skierowałem się na północny zachód ścieżką wzdłuż szerokiej rzeki pędzącej ku zimnemu morzu. Musiałem poszukać brodu do przeprawy, gdyż kraina rzepińska rozpościerała się na drugim jej brzegu. Idąc jednak dalej, miałem szczęście trafiając na rybaków wracających z dziennego połowu, którzy zbierali się do odpłynięcia od brzegu w długich łodziach wypełnionych sieciami i skromnym połowem. Przyjęli bez oporów przybysza do przeprawy nie żądając niczego w zamian, jednakże i tak pozostałem z nimi na krótki postój pomagając przy wyładunku łodzi w niewielkiej przystani, z której wyjść można było do rybackiej osady i dalej w serce matecznika, gdzie wszystko się dawno temu dla mnie zaczęło i plotło nici losu do teraz. Gościnność nasza, a zwłaszcza prostego ludu znana jest, oczywistym więc było, że nie pozwolą wędrowcowi odejść bez obiadu. Nie protestowałem zostając w wiosce na odpoczynek w porze posiłku, który podano dla mnie na szerokim stole przed jedną z chat. Gospodyni wyniosła dymiącą parą misę grubej kaszy i półmisek świeżutkich ryb obsmażonych rumiano na maśle, a do tego garniec śmietanowego sosu zaprawionego aromatycznymi ziołami. Przed posiłkiem dziękowałem Trygławowi za tak smakowitą niespodziankę w mojej drodze, prosząc o łaski dla moich gospodarzy ze wzruszeniem przyjmujących skromne modły. Rybak, twardy człowiek wichrem i niejedną zimną słotą wysmagany o bystrym spojrzeniu podsunął półmisz mnie, jako pierwszemu z racji gościny, potem obdzielił żonę, kobietę skromną o rysach nadal zaznaczających urodę i dwoje dzieci pociesznych urwipołciów bezustannie roześmianych i szczebioczących nawet z pełnymi buziami, wbrew przywołaniom matki rodziny. Wiedząc, że nikt nie będzie miał śmiałości dopytywać, sam wyjawiłem cel swojej podróży budząc zaciekawienie wśród najmłodszych słuchaczy, którzy ośmieleni nieco pod koniec obiadu zaczęli dopytywać o góry, jakich sobie wyobrazić nie byli w stanie, gdyż poza płaskim dorzeczem rzeki dotychczas nic

więcej nie widzieli. Racząc smyki krótkimi opowieściami dotrwałem w miłej gościnie do południa i wyruszyłem dalej nie godząc się na proponowany nocleg, choć spora moja część zmęczona drogą, pozostać w wiosce na wypoczynek bardzo chciała. Miałem przed sobą jeszcze wiele mil wędrówki, a czas pędził bezlitośnie znów zostawiając mnie spory kawałek za sobą. Za radą rybaka postanowiłem do wieczora iść duktem brukowanym wiodącym do najbliższej kaszteli, po czym skrócić jeszcze bardziej na zachód w głąb matecznej Puszczy i tam dopiero przygotować sobie nocleg ostatni w podróży. Działając zgodnie z zamysłem dotarłem około północy do starego domku myśliwskiego z kominkiem, w którym zaraz rozpałem moszcząc sobie legowisko na szerokiej ławie przytасzczonej w pobliże paleniska z kąta chaty dla utrzymania ciepłoty. Noc była wyjątkowo zimna, ledwie kilka stopni, jednak zwyczajna o tej porze roku. Rankiem jak zwykle o świtaniu i z pierwszymi śpiewami ptaków pozbierałem się, po czym posuwając się nikiącą w gęstwinie ścieżynką zanurzyłem się w zielonej otchłani. Zbliżając się do leśnego potoku las wyraźnie zrzedniał wpuszczając więcej światła do spodu, gdzie gęstym kobiercem ścieliły się jagodziska poprzetykane kępami trawy i puchatego mchu. Przemylem twarz w strumieniu i przysiadłem nad jego brzegiem na chwilę wytchnienia. Chłodna woda kusila, aby zanurzyć w niej zmęczone stopy, co jak tylko pomyślałem, to uczyniłem zdejmując wysokie buty. Rwący nurt łagodnie masował, prawie pieścił zdrożone nogi, które po zimowych odmrożeniach delikatniejsze się stały na trudy pieszej podróży. Postanowiłem dalszy kawałek drogi przemaszerować na boso, buty związane rzemieniami przerzuciłem przez ramię odsuwając kapelusz na tył głowy. Schodziłem czasami na kilka kroków do rzeki i brodziłem z nurtem bawiąc się w skoki z licznymi żabami. Sam nie wiem, skąd tak radosny nastrój do mnie przyleciał i jak mocno na mnie po-działał, wystarczył do tego, że zacząłem układać pierwsze strofy wiersza do panny, z którą los mnie związał mocą swoją i źródlaną wodą.

*Wędrując przez życie
Kometę spotkałem
z warkoczem zaplątanym
w brzozowe witki beztrosko.*

Nim ostatnie słowo wypowiedziałem zauważyłem postać w szarej tunice z rzemiennym pasem w talii kryjącą się za olchą nad brzegiem strumienia. Włosy jej mieniły się płowym

błękitem zmieniając na ciemniejsze, gdy zbliżyłem się o kilka kroków. Uśmiechała się przechodząc na bok i krążąc wokół najbliższej sosny, co raz kryjąc się za jej pnem obszernym. Gdy byłem jeszcze bliżej dostrzegłem jej oczy w barwie soczystej zieleni lub toni leśnego stawu, za którymi tak tęskniłem zapomnieć nie mogąc. Oparłem się plecami o chropowaty pień, za którym i ona się kryła próbując dokończyć obmyślane wersy:

*Kołysząc się,
świat śmiechem zarażała
oczy mrużąc zielone
do słońca skierowane...*

- Dla kogo taką pieśń układasz? – Usłyszałem zza drzewa. – Wędrowcem jesteś, czy poetą?
- Przecież wiesz komu moje serce śpiewa i kogo szukam wędrując po świecie.
- Nie wiem... Powiedz mi to teraz. – Wyszła z ukrycia stając przede mną i wplatając dłonie w moje ręce.
- Proszę... – Wyszeptała, a ja tonąłem w zieleni wpatrującej się w każdy szczegół mojej twarzy.

*Ręce wyciągała w zachęcie
na zalotne bujanie
pośród marzeń wiosennych
sióstr gwiazdnych dalekich...*

Starałem się dokończyć nim nasze usta w pół drogi się spotkały. Obejmowałem mocno jej wiotkie ciało, którym tuliła się do mnie szukając ciepła i pieśnyczoty. Zsunęła mój kapelusz przeczesując pomiędzy palcami dłuższe po zimie włosy, jak dawno kiedyś na polanie, gdy pierwszy raz głowę położyłem na jej kolanach. Po chwili odsunęła się lekko dotykając albo zaznaczając coś na moim czole grzbietem dłoni.

- Nie możesz iść za mną. Śmiercią byłoby, to dla ciebie. – Wtuliła się w poły mojego płaszcza.

- Więc sama zostań ze mną.
 - Też nie mogę zrobić. Nie tutaj jest mój świat.
 - Kochać cię jedynie mogę, choć nigdy nie będziesz moja?
 - Ale ja z siostrami leśnymi wiecznie nad tobą będę czuwała i poczekam na spotkanie, gdy będziesz gotowy.
 - Jestem teraz...
 - Nie kochany... – Przykryła mi usta swoimi przerywając zdanie, którego cofnąć nikt by nie zdołał.
 - Nie teraz. – Wszeptała i przykryła dłońią moje oczy, by po chwili rozsypać się na miliony kolorowych drobin rosy, które spadły cichutko pod moje bose stopy.
- Kryjąc twarz w dłoniach dopowiedziałem ostatnie wersy, które zabrzmiały jak wilczy skowyt pośrodku zimnej nocy.

*do których dla niej sięgnąć
tak bardzo się starałem.*

Sobótka



Obudziłem się leżąc skulony na kępie miękkiej trawy, pośrodku polany nad leśnym strumieniem, w którym jeszcze nie tak dawno brodziłem. Rozmasowałem bosc i zmarznięte stopy w poszukiwaniu butów i reszty ekwipunku leżącego w bliższej lub dalszej okolicy, w dość mocnym nieładzie. Koniecznie musiałem rozpalić ogień, aby zagrzać się po dość dziwnej utracie przytomności. Dopiero potem mogłem wyruszyć w dalszą drogę, w jej ostatni etap prowadzący do osady moich przyjaciół, na szczęście wygrywając wyścig z czasem.

Kosztowałem z blaszanego kubka cierpką herbatę wzmocnioną szczyptą ziół z matczy- nego zawiniątka i nabierałem nowych sił, oraz energii życiowej, która prawie ze mnie odeszła w tęsknocie za marzeniem tak krótko trzymanym w ramionach. Musiałem iść, ruszać dalej przed siebie z nadzieją znalezienia sposobu na kolejne spotkanie, na pokonanie bariery istnienia w dwóch odmiennych światach, na radość wspólnego śmiechu nad brzegiem strumienia, który przestanie dzielić serca. Zbierałem się jak zwykle błyskawicznie, choć bez zbędnego pośpiechu. Dogasiłem ogień kilkoma wylanymi nań kubkami wody i skierowałem się dalej na zachód w dół strumienia, którego przezornie już teraz przekroczyłem, aby potem nie szukać przeprawy lub brodu, gdyż z każdą milą nabierał tężyzny i siły, gromadząc w swoim korycie okoliczne wody tak, że stał się tuż przed osadą, będącą celem mojej wyprawy, całkiem sporą rzeką meandrującą malowniczo pomiędzy polami i trzcinowiskami; ostoją ptactwa wszelakiego. Osada, do której się zbliżałem dochodząc od wschodu, od puszczańskiej strony, położona była nieco w dole wobec okalającego ją z trzech stron pradawnego boru. Otwarta od zachodu z polami uprawnymi mieszczącymi się głównie za rzeką była pomieszczeniem rzecznej przystani z rolniczym spichlerzem przez co, choć niewielka w liczbie domostw i mieszkańców, była zasobną i dostatnią ludzką ostoją w tym nadgranicznym regionie. Dalej na zachód rozpościerały się pola i bory należące do germańskiego sąsiada, z którym po wielu latach beznadziejnych wojen, wreszcie panował pokój i względna zgoda.

Domostwo przyjaciół znajdowało się prawie na uboczu osady w jej najdalej na południe wysuniętym krańcu, gdzie rzeka zataczała pętlę opływając niewielkie wzgórze. Dojście do wzgórze wiodło jedyną drogą biegnącą wzdłuż rzecznej koryty i przy gościnnym domu, w którym już na mnie oczekiwano. Dochodząc do progu, nim zdążyłem cokolwiek powie-

dzieć, dobiegł do mnie chłopiec krzyczący wniebogłosy, że „wujcio się zjawił!” Podniosłem brzdąca nad głowę podrzucając nieznacznie, co wzbudziło jeszcze większą radość okazywaną przejmującym piskiem, który strofowała uśmiechnięta kobieta odbierająca malca z moich rąk. Przytuliłem serdecznie oboje, po czym przywitałem się bratersko z gospodarzem domu, również witającym mnie od progu. Łączyło nas wiele, lata żakowskie i wspólne wyprawy mierzone w setkach mil przedreptanych radośnie w słońcu i słońcu, albo zwyczajnie milcząco przez chwilę, gdy już wiele było powiedziane, a samo wspólne wędrowanie było celem wyprawy. Zapraszał mnie wtedy w gościnę, jak obiecał w noc Jaryły, kiedy się w starej górskiej osadzie spotkali. Zadowolony byłem z możliwości odpoczynku w tak przyjaznym domostwie i atmosferze. Po obowiązkowej wymianie opowieści z czasu minionego pomiędzy naszymi spotkaniami, zasiedliśmy przed domem na dębowej ławie racząc się czarnym naparem z palonego zboża i słodu, kawą tutaj zwanym. Musiałem dodać odrobinę miodu do napoju, bo gorzki wydawał się okrutnie, a gospodyni zaproponowała jeszcze trochę gęstej słodkiej śmietanki, która dodatkowo poprawiła smak i uszlachetniła całość.

- Dzisiaj Sobótka. – Zaczął mój gospodarz. – Na wzgórzu przed nami będziemy świętować, może spotkasz swoją dziewczynę?
- Już się spotkaliśmy po drodze, w górze strumienia.
- Pilnuje cię od dawna, uważaj kiedy do tej wody wchodzisz.
- Nic mi od niej nie grozi... Swojej miłości się boję.
- Westchnienie przyjaciela i moje cichsze skończyło ten temat.
- Chodźmy, przejdziemy się duktem, to poznasz kawałek naszej osady, jeśli siły ci zostały po długiej drodze.
- Z chęcią obejrzę, gdzie gniazdo założyłeś. Może zajrzemy do gospody.
- Nic się nie zmieniasz.
- Bo nie ma takiej potrzeby.

Wyszliśmy pomiędzy domy ustawione po obu stronach głównej drogi biegnącej do niewielkiego placu w centrum, wokół którego ustawione równo stragany zachęcały swoimi towarami i zawołaniami przekupni do zatrzymania się i przynajmniej obejrzenia różnych specjałów.

Było tam wszystko czego w miasteczku potrzeba; od chleba, po żelazo kute i narzędzia wszelakie, prócz broni, której w czasie świąt na sprzedaż nie wystawiano. Opodał, w narożniku placu była gospoda mieszcząca się w obszernym domostwie oznakowanym kolorowym napisem nie pozostawiający wątpliwości, kogo gośćmi będziemy: „U Rybaka”. Wejście prowadziło do obszernej sieni, a z niej do sali wypełnionej stołami i ławami, w której brakowało nieco światła wpadającego przez dość niewielkie okna, ale za to nadmiar było zapachów przyrządzanych potraw, głównie ryb oczywiście. Zajęliśmy miejsca pod okienną ścianą zamawiając żur w chlebie i po kwarcie piwa wznosząc toast za spotkanie. Przyjaciół opowiadał o swojej hodowli koni użytkowych i ziołolecznictwie żony przynoszącym całkiem spore środki na godziwe utrzymanie. Spodziewałem się pytania o moje ustakowanie, gdyż temat zmierzał wyraźnie w tym kierunku, więc sam wyprzedzająco odpowiedziałem, że czas mojej wędrówki jeszcze się nie zakończył.

- Jak długo i daleko można wędrować?
- Zapomniałeś już? – Spojrzałem mu w oczy. – Przez całe życie i do kolejnego błękitnego bezkresu. Dopóki starczy sił, będę szedł, będę biegł...
- Wiem, znam tę piosenkę, ale nie kusi cię spokój jakiego możesz zaznać w osadzie, własny dom, rodzina?
- Kusi mnie nadal przestrzeń, Puszcza jest moim domem, a rodzina... – Zastanowiłem się przez chwilę. – Wy jesteście moją rodziną.
- Jak zwykle z głową w chmurach.

Odpowiedziałem uśmiechem i zawołałem o dwa piwa jeszcze, kończąc swoją porcję pysznej zupy, jaką tylko na naszych ziemiach właściwie przygotowywano. Posileni i pokrzepieni wróciliśmy niespiesznie zatrzymując się chwilę na rzecznej przystani do domostwa, gdzie czekała na nas niespodzianka w postaci pieczonego królika. O żadnych protestach nie mogło być mowy, zasiadłem więc ponownie do stołu. Na Dadźboga, nigdy wcześniej się tak nie objadłem.

Słońce miało jeszcze daleko do zachodu, gdy wraz z przyjaciółmi i ich roześmianą pociechą wyszliśmy drogą na wzgórze oczekiwać na nocne uroczystości. Gospodyni sprawdziła przed wyjściem z domu, czy palenisko jest dobrze oczyszczone i przygotowała do zapalenia świeżo ścięte drwa i niewielkie gałązki, jako że tylko nimi można było zapalić ogień od łuczywa przyniesionego ze świętego płomienia roznieconego podobnie, jak w obrzędzie

jaryłowym bez użycia krzesiwa. Kończył się najdłuższy dzień w roku i zbliżała noc poświęcona niezbędnym dla życia żywiołom – ogniovi i wodzie. Swarózc się dzisiaj radował i zakochani, którym tej nocy błogosławił na przyszłość lub figla płał płacząc nogi przed skokiem nad ogniem doprowadzając do upadku, co nie wróżyło wspólnego życia z wybranką lub wybrankiem. „Ogień i woda, natury nie do pogodzenia, jak moja przygoda”, pomyślałem z uśmiechem i dałem się ponieść nastrojowi święta i zabawy. Na wzgórzu zebrała się cała osada i okoliczne pomniejszych znajdujące się w sąsiedztwie. Przyszli starsi odziani w skromne szaty przepasane sznurami z rzemiennej plecionki i oni zajęli się układaniem stosu świeżych gałęzi, który miał niebawem zapłonąć od zarzewia wykrzesanego tym razem od uderzania krzemieniami, czym jak się okazało zająć się mieli młodszy uczniowie. Młodzież przygotowała sobie odpowiednią rozpalkę i po gałązce brzozonej lub wierzbowej czekając na znak starszych wszyscy siedli wokół gotowego do zapalenia stosu. W bliskości porozkładano posłania ze skór lub grubych tkanin, albo przyniesiono przydomowe ławy, na których siedli najstarsi uczestnicy święta. Muzykanci próbowali instrumenty, zespoły taneczne panien poprawiały garderobę i upięcia włosów kolorowymi wstążkami. Gdy słońce rozlało się za horyzontem starsi dali znak, by uczniowie przystąpili do rozniecienia ognia krzemieniami, co udało się po dłuższej chwili trzeciej zmianie adeptów. Podpałka tliła się ledwie, ale rozdmuchana wkrótce zajaśniała niewielkim płomykiem podtrzymywany następnie w małej kołysce wyrzutowanej specjalnie na dzisiejszy wieczór z kawałka świeżo ściętej lipowej gałęzi. Tak powstały ogień, jako żywy podłożono pod stos gałęzi, które zajmowały się powoli sycząc w ogniu puszczanymi sokami. Uczniowie kolejno oddawali pokłon świętemu płomieniowi dokładając do niego swoje gałązki. Od tej chwili na całym wzgórzu rozbrzmiewała muzyka i zaczynały się pląsy od pokazu tańca dziewcząt w centrum wzgórza. Ognisko gorzeć zaczynało jasnymi płomieniami i dopiero wówczas zaczęli podchodzić do niego gospodarze domostw, także i mój przyjaciel, którzy na łuczycach zabierali niewielkie płomyki do swoich obejść, gdzie rozpalali nimi przygotowane stosiki ze świeżych gałązek w czystych paleniskach, po czym wracali do wspólnej zabawy. Biada temu, któremu nie udało się ognika donieść do swojej chaty, wróżby kładły na nim same niepowodzenia na ten rok. Widząc wracającego przyjaciela z radością pozdrowiłem go wołając:

- Niech się darzy do następnej kupałnocki!
- Niech się darzy w imię Swaroga i syna jego Swarózyca! – Odpowiedział, gdyśmy ściskali się za ramiona.

Kobiety tymczasem zebrały się nad brzegiem rzeki pod przewodnictwem mojej gospodyni, którą otoczyły młodsze rozpoczynając taniec wokół niej, starsze przygrywały melodyjnie na piszczałkach. Dopiero wówczas zauważyłem, że był tam przygotowany niewielki stosik ogniska, który moja przyjaciółka rozpałała pochodnią z łuczywa pobraną ze świętego ognia. Gdy zajaśniało radosnym blaskiem młodsze rozstały się płasając nieco dalej po okręgu dając miejsca przy ogniu starszym, z których każda odpinała od pasa niewielki worek mieszczący po siedem świeżych ziół i posypywała szczyptą na płomień za wzorem zielarki mistrzyni, stojącej cały czas przy ogniu. Zbliżyłem się zaciekawiony i poczułem wonny dym, który owijał się wokół kobiet oczyszczając i mnie ze złych mocy. Podchodzili też mężowie i młodszy, którzy nagarniali na siebie smugi dymu ciesząc się z jego zapachu, oraz wierząc w magiczne właściwości. Od matki wiedziałem, że musiało ziół być w worekach szczęśliwie siedem, w tym obowiązkowo bylica i dziurawiec, a reszta wedle uznania, występowania i miejscowego zwyczaju. Tańce i płasy trwały przez cały czas, gdy jedna grupa kończyła inna wstępowała na jej miejsce; bawili się wszyscy starsi i młodszy, nawet pociechy całkiem małe lub wręcz berbecie, które w tą jedną noc w roku, noc Kupały miały prawo i nie zasypiały.

Zbliżając się do północy zielarka uwiła zielny wianek przy śpiewie pozostałych kobiet i rzuciła nim na wodę w nurt rzeki parząc za nim, czy nie zatonał, albo nie zaplątał się w przybrzeżne sitowie. Ten popłynął spokojnie z prądem środkiem rzeki i zniknął w oddali, na co szczęśliwą pieśń zaśpiewały chórem wszystkie kobiety, a mężczyźni radośnie im przyklaskiwali dołączając do refrenów głoszących powodzenie wszelkie dla nich i całej osady. Po pieśni gospodynie zanosły pęczki ziół do domostw wieszając je u powały nad wejściem, a młodzież szykowała plac do skoków nad ogniem, do czego sam ochoczo się przyłączyłem. Zanim skoki się na dobre zaczęły, gospodynie były z powrotem, wraz z nowym jadłem i napojami dla bawiącej się gawiedzi. Najprzód skakali starym zwyczajem młodzieńcy, którzy popisać się musieli odwagą przed pannami i osadą oceniającą ich dokonania nad płomieniami. Zachęcony ponagleniami przyjaciela i poznanych jego sąsiadów ustawiłem się w kolejce do skoków biorąc spory rozbieg przed pierwszym i mocno uważając, abym się nie potknął przy wybiegu i nie upadł za kręgiem ognia, co wzbudziłoby nie lada wesołość gapiów. Udało się przelecieć płynnie i wysoko nad sypiącymi iskry czerwonymi jezorami, za którymi rozłożyłem ręce w geście pozdrowienia otrzymując w nagrodę garniec przedniej miodowiny. Spróbowałem jeszcze kilka razy swoich sił nad ogniem, po czym odszedłem nieco na bok bliżej rzeki, gdzie nadal paliło się ognisko zielarek. Za nami zaś przez ogień skakać zaczy-

nały nawet pary, które już zaręczone szykowały się do swoich godów, a tej nocy świętej losu ostatni raz pytały, czy im pisane jest wspólne przez życie wędrowanie. Tak samo wróżono dla nich z udanych skoków nie szczędząc przycinek potykającym się nieszczęśnikom lub nieszczęśnikom. Noc jeszcze nie bledła, ale jako najkrótsza w roku ponaglała do kulminacji zabawy jakim było puszczenie wianków.

Wianki



Dołożyłem kilka gałązek do ognia zielarek i usadowiłem się wygodnie mając przed sobą piękny widok na rzekę odbijającą gwiazdy w swym czarnym lustrze. Za mną nadal trwał świąteczny festyn pełen gwaru i śmiechów, które z czasem zaczęły przenosić się bliżej rzeki za sprawą panien szykujących wianki, które uplecione z trzech gałązek bylicy, były gotowe do puszczenia na wodę wraz z niewielką świecą.

Dziewczęta zebrały się wśród śmiechów i tajemnych szeptów w wesołej ciżbie pomiędzy mną i ogniskiem zielarek, a rzeką. Chłopcy natomiast czekali nieco dalej w dole rzeki równie hałaśliwie dokazując między sobą. Panny kolejno przypalały od łuczywa świece i ostrożnie puszczały wianki z nurtem rzeki po kilka naraz patrząc za nimi, aby się gdzieś nie zaplątały, co byłoby wróżbą nieślubnego dziecka lub co gorsza, aby nie zatonął, czym zwiastowałby śmierć w kwiecie wieku. Mniej dramatyczne losy mogły spotkać nieszczęśnicę, której świeca zgasałaby przed wyłowieniem wianka przez chłopaka, czekałaby ją nieszczęśliwa miłość. Chłopcy jednak starali się bardzo i wyciągali wszystkie wianki z płonącymi nadal świecami, ku wielkiej ucieście niewieściej młodzieży. Jeden wianek porwany silniejszym nurtem umknął jednak dalej w środek rzeki mimo odważnej próby wyłowienia go przez jednego z młodzieńców, który nawet próbował popłynąć za nim, ale zawrócił w obawie przed silnym prądem rzeczonym. Dziewczyna lekko zasmucona wysłuchiwała wyroczni wróżącej jej staropanieństwo, lecz jak potem zauważyłem, chyba raczej nie sprawdzonej, bo z dzielnym adoratorem szybko oddaliła się przytulona do jego ramienia w ciemniejszą część świątecznego placu. Obserwując zmagania młodzieży nie zauważyłem nawet jak pochyła się nade mną kobieta o całkiem białych włosach i wieku trudnym do określenia, która prawie szeptem zagadnęła mnie pytaniem :

– A ty nie idziesz wyłowić wianka pisanej ci przez los panny? Przecież, to noc zakochanych.

Spoglądając w jej twarz nie odważyłem się słowem odpowiedzieć, gdyż oczy miała barwy kompletnej nocy i cerę ziemistą. Zerwałem się prawie z na równe nogi i pomaszzerowałem, jak uczeń zestrofowany, kilka kroków w dół rzeki do młodzieńczej gawiedzi uzbrojonej w tyczki i długie kije, którymi starano się wyciągać z wody wiankowe zdobycze. Niczego podobnego nie miałem pod ręką i nie za bardzo wiedziałem co mam robić, na co czekać.

Na wianek, to oczywiste; ale jaki i której... Przecież byłem tutaj obcy, choć panien nie brakowało, ale chyba sam nie chciałem tej zabawy... Żadnej z nich... Na Trygława, zwyczajnie się bałem. Stojąc prawie za wszystkimi obserwowałem ogniki kołyszące się na delikatnych falach rzeki, które płynęły niespiesznie w naszym kierunku uwalniane na wodę przez delikatne ręce panien o sercach pełnych nadziei na dobrego i czułego męża, który wyłowi ich wianek. „Może być rozpacz jak trafi na mnie”, pomyślałem obserwując właściwie bezradnie, jak kolejne wianki zostają wyławiane. W jeden z nich, długą tyczką celował postawny młodzieniec będący kilka metrów przede mną, nie trafił i już miał się przymierzyć po raz kolejny, gdy poślizgnął się i wpadł nogą do wody przewracając się do tyłu na skarpę i plecy wzbudzając nie mały wybuch śmiechu. Jego tyczka popłynęła z prądem, a wianek dryfował tuż za nią z nadal palącą się świecą. Bez zastanowienia wskoczyłem do wody zanurzając się od razu po pas i dobrnąłem do wianka zatrzymując go w momencie, gdy traciłem grunt pod nogami. Wychodząc na brzeg zebrałem spore brawa za odwagę i wyczyn, gdyż płomyczek małej świecy zaplecionej w gałązki bylicy, oraz trawy rzecznej, nadal wesoło świecił.

– Szukaj panny do niego! – Wołano do mnie poklepując przyjaźnie w plecy.

Odszedłem w miejsce skąd nadal dziewczęta wypuszczały na wodę swoje życzenia, rozglądając się za znaną mi postacią, której obecność zdradzała trawa wodna dopleciona do wiankowej bylicy. Stała przy końcu zakola rzeki, nieco wyżej od całej dziewczęcej gawiedzi, obok wąskiego zejścia do brzegu wyciętego w sitowiu. Miała na sobie jasną suknię spiętą szerokim pasem z narzuconą na ramiona ciemniejszą peleryną z cieplejszego, jak się zdawało, materiału. Włosy tym razem w jaśniejszym odcieniu złota swobodnie spływały na ramiona, które wyciągały się do mnie, gdy podchodziłem. Jej uśmiech był spełnieniem każdego mojego marzenia, jej oczy pełne głębokiej zieleni lśniły dla mnie w blasku palącej się świecy wianka, który teraz oddawałem. Otarła dłonią krople wody z mojej twarzy gasząc ostatnią z nich świecę i przytuliła się na powitanie.

– Wiedziałaś, że to mój wianek rzeką do ciebie posyłam?

– Nie wiedziałem.

– Więc dlaczego tak dzielnie za nim w wodę się rzuciłeś? Przemokłeś cały.

– Chciałem, żeby był od ciebie. Posłankę przecież mi przysłałaś.

– Poznałeś! – Zaśmiała się radośnie. – Starsza siostra moja trochę mi pomogła, bo tyś nie skory był do tej zabawy.

– Ech, Rusałko... – Poderwałem ją w górę zakręcając wraz z sobą w miejscu.

Jej pachnące zieleń i łąką włosy przylepiły się do mojej mokrej twarzy, a gdy je zdejmować zaczęła wodziłem warg muśnięciami za jej dłoń, zwinnymi palcami i ustami, których nie cofała przed pocałunkami. Trwaliśmy tak chwilę zasłuchani w swoje oddechy i szybsze serca bicie; ja z wielkim strachem przed kolejnym gwałtownym rozstaniem.

- Nie obawiaj się, to święta noc. Dzisiaj dłużej na pewno z tobą zostanę.
- Ale jednak wrócisz do swojej rzeki.

Nim odpowiedziała, przytuliła się mocniej siadając na moich kolanach, gdy doszliśmy do ogniska zielarek, które już prawie dogasało. Dorzuciłem kilka świeżych gałęzi i okryłem nas oboje moim obszernym płaszczem, jakbym chciał cały świat z nią zamknąć pomiędzy moimi ramionami.

- Nie przeszkadza ci ogień?
- Choć w wodzie mieszkam z siostrami, to nie straszne są dla nas żadne żywioły. Ogień przecież pochodzi od pana naszego, Jaryły. Zapomniałeś kochany?
- Przy tobie o wszystkim zapominam.

Znów zaczęła przeczesać palcami moje schnące włosy układając je w tył głowy i obserwowła ruchy dłoni, jakby zapamiętać je chciała.

- Czego się boisz? – Spytała zaglądając w moje oczy.
- Boję się swojej miłości do ciebie.
- Nie rozumiem.
- „... Każda z gwiazd samotna... Każdy z nas samotny. Czemuż, czemuż więc my gwiazdne dzieci... – Zacząłem cytować słowa piosenki zasłyszanej w czasie nocnej zabawy.
- „W gwiazdozbiór piękny, przepiękny wręcz nie skupimy serc?” – Dokończyła cichym szeptem przytulając się jeszcze mocniej.
- Pomagałam pewnemu wędrownemu poecie napisać te słowa... Jakiś czas temu, zanim nie wyruszył do gwiazd w poszukiwaniu prawdziwego człowieka.
- Nie ma we mnie, aż tyle mocy i nie szukam jego marzenia, ale ciebie moja zielonooka leśna zjawo.

*Wichrem jesteś w moim życiu i cichą przystanią
Marzeniem sennym i rzeczywistością na jawie.*

*Gdybym po kwiat paproci zdołał sięgnąć
w Puszczy gęstwinę,
jego magią ciebie bym dla siebie zostawił.*

*Każdy poranek byłby świętem nowym
ożywiony twoim uśmiechem
i blaskiem oczu rozświetlony.
Gdybym moce takie posiadał,
nikt by nad nami nie władał.*

Nie wiem, jak powstały takie strofy, które prosto z głowy wyszeptalem. Gdy kończyłem całusnie usta mi zamknęła, a ja czując słone krople łez toczące się po policzkach ukochanej, starałem się je osuszyć pocałunkami.

– Nie zdobędziesz takiej mocy. – Cicho załkała ukrywając twarz na mojej piersi.

Chciałem, aby czas się zatrzymał i ta chwila nie przeminęła nigdy. Gładziłem jej włosy i ramiona powstrzymując rozpaczanie, gdy dostrzegłem trzy dziewczęce postacie kołyszące się na rosochatej wierzbie, tuż nad brzegiem wody rosnącej. Postacie bardzo znajome o włosach Płowych, Kasztanowych i Miedzianorudych przyglądały się nam w milczeniu ze swoich gałęzi. Zaczynało się świtanie.

– Muszę wracać z moimi siostrami.

– Wiem, kochana.

– Tak jak ty musisz wędrować. – Przesunęła palcami po mojej twarzy. – Twoje życie, to wędrowanie i o wędrownice opowiadanie.

Tyle słów jeszcze przelatywało mi przez głowę, lecz jedynie smutno mogłem milczeć topiąc się w jej oczach we mnie wpatrzonych. Ostatnie ust naszych spotkanie przed kolejnym rozstaniem i jej szept, którymi zryłem sobie pamięć.

– Zawsze będziemy razem. Mój wianek przecież złapałeś.

Podchodziła spokojnie do Wił kończących poranne kołysanie. Zaśmiały się radośnie chwytając za ręce, zawirowały i mgnieniu oka rozmyły w porannym świetle tworząc tęczową mgiełkę, która strzeliła od rzeki w słońce i zgasła w nurtach wody.

Znów byłem sam na brzegu, ale nie samotny.

W opowiadaniu wykorzystany został fragment poematu Edwarda Stachury „Missa Pagana” ze zbioru pt. „Cudne Manowce”, Grupa Wydawnicza Bertelsman Media Sp. Z o.o. Libros, Warszawa 2001

rozdział 7

Łosiek



Świat miał się dopiero obudzić, a ja już od ponad godziny niemalże po omacku, krzątałem się nad skompletowaniem sprzętu wędkarskiego na poranne łowy. Przez cały dzień po kupalnocce nie znalazłem czasu na przygotowania do tej wyprawy podobnie jak mój przyjaciel, z którym robiliśmy wszystko, aby nie wejść do szopy i nie zająć się tym, nad czym obecnie dość solidnie zrządziliśmy.

Nikłe światło ręcznej latarni oświetlało pomieszczenie na tyle, że rozróżnialiśmy swoje cienie i nic więcej. Błądziliśmy po pomieszczeniu potykając się o różne przedmioty i wyciągając kolejne całkiem nam zbędne, jakbyśmy akurat trafili do zupełnie niewłaściwego pomieszczenia. Przy odrobinie śmiechu tłumionego wzajemnym uciszaniem się, po dłuższej chwili mieliśmy prawie wszystko odszukane i rozpoznane jako przydatne w naszej dalszej wyprawie. Jako bonus na szczęście zabieraliśmy z szopy kilka przypadkowych guzów na głowie od ciągłego obijania się o coś lub czymś. Brakowało nam przynęty, która korzystała z luksusów zamieszkiwania w ciepłej przyźmie obornika znajdującego się na skraju podwórka, a którą musieliśmy wydobyć, bo o tym również nie pomyśleliśmy zawczasu. Zawsze miałem duże opory przed babraniem się w poszukiwaniu robali nawet w stercie kompostu, a co dopiero w całej hańdzie obornika, dlatego wdzięczny byłem kompanowi, który odważnie zanurzył łopatę w lepkiej mazi odkładając pierwszą skibę. Przypuszczam, że chciał uniknąć moich metafizycznych wynurzeń, które same cisnęły mi się do głowy zawsze podczas tak mało atrakcyjnych zajęć i przerzucał raz za razem kolejne warstwy odkrywając całe robacze rodziny wyłapywane przeze mnie pęczkami i upychane do podręcznego naczynia z podziurkowanym wieczkiem.

- Co dla jednego jest obleśnym plugastwem, dla innego przysmakiem wyśmienitym. – Nie mogłem sobie darować choć jednej uwagi.
- Przestań proszę, bo się, albo cię uduszę. – Usłyszałem w odpowiedzi.
- A znasz tę piosenkę: kompościk, kompościk; wylęgarnia muszek. Kompościk, kompościk; chyba się uduszę. – Nie dawałem za wygraną.
- Sam zaraz będziesz kopał. – Chichotał.

- Starczy, bo mi wyłażą spod pokrywki. Idziemy stąd. – Zdecydowałem fachowo oglądając w nikłym świetle pojemnik z kłębowiskiem tłuszciniowej żywej przynęty.
- Musimy się pospieszyć, bo zaraz będzie świtać.

Zaczęliśmy taszczyć cały potrzebny sprzęt do łodzi przycumowanej przy niewielkim pomoście usytuowanym na przeciw gościnnego domostwa. Solidna drewniana łódka pomieściła wszystko bez problemów, tak że mogliśmy sami się w niej usadowić i odbić od brzegu. Wsiadając na rufową ławeczkę skazałem przyjaciela na wiosłowanie, ale on i tak lepiej znał te wody. Łajba jak zauważyłem jeszcze z brzegu, miała na bocznej burcie wymalowany trochę niezgrabnie napis „Hynch”, pochodzący od miejscowego określenia nadrzecznych zarośli.

- Kto takie dał jej imię?
- Mój chłopak, dla którego łódka i ta rzeka jest drugim domem.
- Pocieszny smyk z niego.
- O tak, zostaniesz kilka dni to pewnie zmienisz zdanie.

Odpowiedziałem uśmiechem i w ciszy spłynęliśmy z nurtem prawie milę w dół rzeki w miejsce, gdzie jak zapewniał mnie przyjaciel i jednocześnie przewodnik tej wyprawy, ryby same nabijają się na haczyk. Nie myślałem o połowie, o rybach albo zdobyczy. Nigdy sobie niczego wcześniej nie obiecywałem, tak było lepiej, mniejsze rozczarowanie w razie porażki lub żeby nie zapeszyć. Obserwowałem wierzchołki drzew przesuujące się wraz z umykającym za nami brzegiem. Niebo zaczynało blednąć, ale nie było żadnego wiatru. Spojrzałem na mojego towarzysza w momencie, gdy on zwrócił się do mnie. Nieznaczny uśmiech był wszystkim co mieliśmy sobie do powiedzenia, wiedzieliśmy o sobie wszystko i nic nie miało znaczenia więcej poza tą chwilą, tym kawałkiem rajy rzecznej na ziemi. Poza nami na tej wyprawie. Słowa byłyby tylko zbędnym hałasem i balastem, który wleklibyśmy z sobą niczym pokutnicy swoje kamienne kule. Łajba cichutko spływała kontrolowana wprawny mi ruchami wiosła. Zacząłem się wpatrywać w zarośnięty brzeg będący brzegiem wielkiej Puszczy, której jak zwykle pokłoniłem się z szacunkiem, na co wiosłarz złożył wiosła wzdłuż łodzi i podobnie pokłonił się w pokorze lekko wstając z miejsca.

Takie zachowanie było w nas od zawsze. Odkąd pamiętam Natura była dla mnie dobrem najwyższym, najwyższą wartością i tajemnicą. Wpajane zachowania i sposób myślenia od najmłodszych lat dziecięcych przez lata nauki i dalszej wędrówki tylko się utrwały. Wielki

podziw dla potęgi stworzenia i siły odradzającego się życia, co wiele razy miałem okazję oglądać, był dla mnie oczywisty. Syciłem się tym widokiem po grozie wielkiej powodzi, która zrujnowała mój dom, widokiem niesłychanego odrodzenia z jeszcze większą siłą nadchodzącego niż niszczycielskie żywioły zabierające mi wszystko co materialne. Nie miałem ani odrobiny złości w sobie, gdy fala powodziowa przetaczała się przez mój dom, gdy ja stałem bezsilny i kompletnie bezradny. Mogłem tylko przyglądać się, jak wielkie i ciemne rzeczne fale rozlewają się coraz szerzej po pielęgnowanym ogrodzie, przez zagony truskawkowe, malinisko i docierają do murów domu. Potem forsują drzwi w pustoszą wewnątrz mieszając wszystko z rzeczonym szlamem i błotem. Nie mogłem uciekać, bo nie miałem dokąd, stałem wówczas na werandzie swojego domu i gapiłem się w brunatne wody, zabierające w ułamkach sekund cały mój dotychczasowy dobytek, niszcząc pielęgnowane uprawy. Mogłem jedynie podnieść swą łaskę wędrowca z głownią Trygława i pokłonić się sile Natury, która pokazując gwałtowność jednego ze swoich żywiołów dawała mi bezcenną lekcję pokory. Tylko potęgą Natury jest nieustająca; pozaczasowa.

Wyraźnie świtało, gdy przepływaliśmy pod niskim mostkiem przerzuconym nad rzeką dla ułatwienia transportu wiosną zwierząt na bogate pastwiska i skoszonego siana latem. Jeszcze jeden pokłon w hołdzie wszystkim stworzeniom i pracy ludzkich rąk podczas przeprawy pod mostkiem, a potem już zaczynało się rozlewisko z gąszczem rzecznych odnóg, w których tylko mieszkaniec tej okolicy nie mógł zabłądzić. Wschodzące słońce podnosiło delikatną mgiełkę z lustra wody, cudowny rzeczny teatr otwierał przed nami swoje podwoje. Między trzciniami zaczynały niebezpieczne powietrzne ewolucje ważki o modrych skrzydełkach. Jętki, trzciniowe kaskaderki igrając życiem tak krótkim, że ledwie dostrzegalnym furkotały nad naszymi głowami. Czasem jedna przysiadła na kapeluszu któregoś z nas witając lub pozdrawiając albo po prostu dla odpoczynku. Któż odgadnie słowa z szybkiego oddechu takiej sportsmenki, lub wysłanniczki mojej Pani, jak lubiłem o nich myśleć. Przedzierając się przez kolejne meandry jednej z setnych rzecznych odnóg usadowiłem się wygodniej na swojej ławeczce i przewiesiłem aparat fotograficzny przez szyję na pierś, aby mieć go w pogotowiu. Świt tymczasem przechodził w poranek, który za sprawą letniego złudzenia zamieni się wkrótce w południe, czego pewnie na łowisku nawet nie zauważymy zaaferowani emocjami połowu albo sfrustrowani kompletnym lekceważeniem tak pięknej przynęty przez rybę wszelkiego rodzaju. W jednym z zakoli rzecznych mgła pozostawała jeszcze całkiem nisko nad taflą wody tworząc coś w rodzaju zwiewnego ale puchatego dywanu. Sięgnąłem

po aparat celując w ten widok, który zatrzymywałem się na trochę już staroświeckiej kłiszy. Machinalnie naciągnąłem migawkę i pomogłem przedrzeć się przez pas trzcinowiska, w który wbiliśmy się dziobem łodzi. Był to ściśle zamierzony fortel. Zależało nam zgodnie z planem jaki ustaliliśmy wcześniej, aby ustawić się na łowisku od strony trzcin, naprzeciw brzegu, ale tak aby przezeń nie przepływać. W tym celu musieliśmy pokonać ze szczęściem wąski pas trzcinowiska przeciągając łajbę przez nie w sposób dość dziwny, bo łąpiąc w pęczki trzciny po obu stronach łodzi i tak sunąc wraz z łajbą do przodu. Gdy wychodziliśmy na otwartą wodę mój sternik przytrzymał trzciny tylko po lewej stronie tak, że krypa od razu wyszła z zarośli rzecznych ustawiając się bokiem do brzegu, który odsłonił się przed nami w jednej chwili. W wodzie, na przybrzeżnej płyciźnie na przeciw nas w odległości zaledwie kilku metrów stał na swych cienkich jak patyki nogach zaledwie może roczny łośzak, dzieciak dosłownie jeszcze, z pyskiem lekko uniesionym ponad lustro wody i ociekającym lśniącymi strugami. Uszy położył na boki głowy strzygąc nieznacznie jednym z nich i wlepiając w nas swoje ogromne kasztanowe oczy pełne zaskoczenia równie wielkiego, jak i nasze. Zauważyłem, że jego dolna szczeka lekko opadła odsłaniając zęby co spotęgowało się zwierzęcego rażenia osobliwym wyglądem. Nie podnosząc aparatu do oka, z poziomu klatki piersiowej ledwie celując w niego nacisnąłem migawkę, która trzasnęła mechanicznie w tej ciszy jakby wystrzałem z broni palnej. Zwierze podskoczyło na raz na wszystkich swoich czterech łapach pluszcząc w wodzie jakimś finezyjnym piruetem i zerwało się do ucieczki w popłochu próbując wskoczyć jednym susem na wysoki brzeg, z którego osunęło się nie-szczęśne i prasnęło zadem w wodę. Nie wytrzymałem i parsknąłem gromkim śmiechem prawie podskakując w łodzi. Przez śmiech nie mogliśmy przez dłuższą chwilę powiedzieć ani słowa, łośzak natomiast po drugiej próbie z uszami położonymi po sobie i kompletnie zmoczony wreszcie prawie wczółgał się na brzeg i skarpe, po czym zniknął pośród zieleni zaskoczony chyba, że go nikt nie goni. Gdzieś powyżej nas na wysokim brzegu usłyszałem jeszcze jeden mocniejszy szelest przedzierania się przez zarośla, to prawdopodobnie mama łoś podążała za przestraszoną pociechą. Nie było mowy o jakimkolwiek wędkowniu. Spłoszone zwierze oraz nasz śmiech połączony z podskokami i wiciem się w kolejnych salwach radości w drewnianej łodzi skutecznie wypłoszył wszystkie ryby z wymarzonego łowiska. Zdając sobie z tego sprawę opłynęliśmy trzcinowisko, przez które z takim mozołem się przedzieraliśmy i skierowaliśmy łódź pod prąd wiosłując na zmianę w kierunku osady. Spoglądając na siebie bez żadnego komentarza, czy choćby słowa zaśmiewaliśmy się co raz

nie mogąc powstrzymać radości na wspomnienie naszej przygody. Jednak nie wracaliśmy z niczym, tajemnica naszej wyprawy nadal kryła się na staromodnej kliszy fotograficznej w moim aparacie.

Zew



Cieszyłem się z gościny u przyjaciół, bo mogłem poleniuchować przez kilka kolejnych słonecznych dni albo oddać się przyjemności wędkowania korzystając z drewnianego „Hyncha” i bliskości szczodrej rzeki. Wszystko w sielankowej atmosferze mogącej trwać i wieczność, ale mnie zaczynała ponownie kusić Puszcza swoimi zielonymi tajemnicami. Czas było się zbierać do dalszej drogi, choć nadal nie zdecydowałem, w którą stronę skierować swoje kroki.

W trakcie poobiedniej pogawędki poinformowałem swoich gospodarzy o zamiarach powrotu na szlak wędrówki, co przyjęli ze zrozumieniem i z nieukrywanym smutkiem. Przyjaciel proponował abym został jeszcze do dnia następnego, gdyż zaprosili nas sąsiedzi na postrzyżyny swojego starszego syna, który doszedł do wymaganego wieku. Nie mogłem odmówić, bo zacni ludzie nas w gościnę i do ognia prosili, którym mój przyjaciel, jak brat rodzony zawsze pomocą służył i wzajemnie. Było to po mojej myśli, gdyż bardzo chciałem usiąść przy ogniu i zapytać płomieni o drogę, poprosić o nowe wyzwanie; gwiazd naznaczenie na szlak dalszej wędrówki. Skompletowałem swój ekwipunek przed wieczorem, tak żeby wyruszyć zgodnie z moim zwyczajem o świcie, a teraz czekałem na zbierających się do wyjścia gospodarzy siedząc na ławce w ogrodzie. Słońce zniżało się nad zachodnie pola zaglądając w spokojny nurt rzeki, kiedy weszliśmy do ogrodu sąsiadów witających nas serdecznie. Stos na ognisko był starannie ułożony w centralnej części zielonego placu i odgrodzony kamiennym kręgiem od starannie przystrzyżonej darni. Siedliśmy na ławach przy szerokim stole opodal ognia. Gospodyni podała pierwszą potrawę, która była dla mnie zaskoczeniem.

- Mój ulubiony żurek! – Nie kryłem zachwyty.
- Wypytałam tych i owych... – Gospodyni tłumaczyła tajemniczo, choć doskonale wiedziałem, kto dokładał do tego ręki.
- Trochę podpowiedziałem. – Przyjaciel uśmiechał się życzliwie.
- Nie ważne. Piękne i smakowite pożegnanie z tak miłą gościną.

Siedząc, smakując potraw i żartując czekaliśmy na zapadnięcie zmroku, którego nadejście zwiastowały ostatnie czerwone rozbłyski po zachodniej stronie i cichnące trele kosa kręcącego się po okolicznych świerkach. Zapalono olejowe pochodnie i usiedliśmy wokół

stosu przygotowanego do odpalenia. Usiadł z nami starszy syn gospodarza z jasnymi włosami sięgającymi nieco za ramiona. Zaśpiewaliśmy pierwszą z pieśni o dzieciństwie radosnym i beztróskim, do którego czasem każdy z nas tęskni, po czym ojciec chłopca wstał i zaczął przemawiać do nas i syna.

- Wyrosłeś już nam na wielką pociechę sprawną w pracach domowych i samodzielną na rzece. Poszukiwać zacznasz dla siebie swojej drogi, którą podążysz przez resztę życia, a żebyś nie zbłądził siedliśmy wokoło przy stosie, którego rozpalisz i jemu cześć oddasz zaczynając nowy wiek.
- Weź zatem pochodnię z mych rąk, – odezwała się jego matka – którą tobie jako strażniczka domowego ogniska daję i zapal ogień dla siebie i dla nas tutaj zgromadzonych.

Chłopiec przyjął w milczeniu palące się łuczywo odpalone z domowego paleniska i przyłożył pod stos, który zajął się szybko żywym płomieniem. Kobiety zaśpiewały kolejną pieśń chwalcą w słowach siłę żywiołów. Chłopiec podał wszystkim kubki z pysznym miodem, dwunastoletnim półtorakiem dojrzewającym w beczce od chwili jego narodzin i czekał na zakończenie pieśni, którą wspomagały dźwięki fletów i niewielkiego bębena.

Ogień tańczył wesoło i ogrzewać zaczynał nasze twarze złocąc i oblewając czerwienią całe postacie. Ojciec wstał ponownie przywołując syna, który rozpuścił włosy swobodnie na ramiona. Mężczyzna ostrym nożem wyjętym z pochwy przytroczonej do swojego pasa odciął długi kosmyk z włosów syna i owinał nim trzylistną gałązkę dębu, którą położył na syczące płomienie. Wstaliśmy w milczeniu czekając na końcowe zdanie ojca.

- Imię twoje i matczyne zioła chroniły cię dotychczas przed zmorami i wszystkimi złymi mocami. Teraz będziesz musiał swoją odwagą, męstwem i prawością dawać sobie radę. Postrzygając kosmyk twoich włosów pozostawiam cię w swojej władzy jeszcze na czas jakiś, ale oddaję już w całości wyrokom losu i Natury. W opiekę przez te płomienie dobrej mocy, która była, jest i będzie na wieki, cię oddaję. Niech ścieżka Szarego Wilka, po którym masz blask we włosach i umiłowanie wolności w sercu będzie ci bliska, bo takie od teraz będzie twoje zawołanie.

Wznieśliśmy toast ściskając chłopca serdecznie i życząc szczęścia na otwierającej się przed nim drodze. Nim ponownie usiedliśmy przemówił mój przyjaciel.

- Wyrośnij nam na obrońcę starego prawa i stróża obyczaju, aby nie zatracił się pośród zgiełku pędzącego na oślep świata.

- Niech się ziści, na Peruna! – Zawołał ojciec młodzieńca dopijając miód, po czym uronił kilka kropel pozostałych na dnie naczynia wprost na płomień.

Podobnie uczynił każdy z nas poświęcając odrobinę przedniego napoju żywiołom i starym bogom przyzywanym po imionach, tym którym zawierzaliśmy swoje losy.

- Niech się spełnią Jaryły wyroki! – Wyrzekłem, gdy przyszła moja kolej i prócz kropel miodu dodałem do ognia szczyptę ziół z mieszka wędrowcy kłaniając się płomieniom z godnością i w pokorze.

Wróciliśmy do ucztowania i świętowania siadając przy stole ale głównie do ognia, w pobliże którego z czasem przenieśliśmy ławy oraz stół biesiadny. Śpiewem rozbrzmiewał ogród sąsiadów do późnej nocy, czas jednak było kiedyś się pożegnać. Pierwszy zebrał się z rodziną starszy rybak mieszkający za rzeką, od którego dostałem pasy suszonej ryby na drogę, a syn gospodarzy nową wędkę. Potem pożegnałem się z rodziną goszczących mnie dotychczas przyjaciół, gdyż postanowiłem zostać przy dogasającym ogniu na resztę nocy, do świtu. Nie wiedzieliśmy kiedy następnym razem znów się spotkamy, gdyż przede mną otwierała się ponownie droga wędrowcy. Puszcza wabiła i wzywała, czułem jej zapach żywicy mieszającej się z wilgocią mchów. Słyszałem jej szept zabłąkanego wiatru w gęstym listowiu przecinającego ciszę starego boru. Obaj wiedzieliśmy, że słowa, jak zwykle były zbędne. Uścisnęliśmy się na pożegnanie i wróciłem do ognia. Gospodarze wieczoru potowarzyszili mi jeszcze przez jakiś czas pozostawiając samego na długo przed świtaniem.

Zawinięty w płaszcz wędrowca ułożyłem się przy kręgu ognia. Gwiazdy migotały nieznacznie w czarnej przestrzeni zasnuwanej delikatną smugą dymu unoszącego się wysoko. Pachniało palonym jałowcem, którego kilka gałązek dorzuciłem na płomień. Dym zniżał się jasnym obłokiem tuż nad moje posłanie kłębiąc się nad głową, ale nie przeszkadzał. Musiałem poprawić pozycję i uwolnić zdrętwiałą rękę, gdy usłyszałem piskliwy krzyk mysołowa. Trochę zaskoczył mnie ten dźwięk, bo noc jeszcze nie rzedła. Rozejrzałem się po okolicy, jednak niczego nie byłem w stanie wypatrzeć. Uznałbym, że omamił mnie słuch, gdyby pisk się nie powtórzył, jak wołanie. Wstałem z posłania i odszedłem poza krąg światła z ognia. Ciemność jakby zbladła w tym momencie, a okolica zaciągnięta została mgłą z lekką poświatą unoszącą się ponad rzekę w miejscu, gdzie zaczynała się Puszcza. Zrobiłem kilka kroków w tym kierunku prawie na skraj ogrodu i dostrzegłem sylwetkę ptaka siedzącego na niskim pniaku. Gdy zrobiłem jeszcze jeden krok w jego kierunku, ptak rozpostarł skrzydła próbując wzbić się w przestworza, ale podskoczył jedynie i zatrzepotał niezdarnie

skrzydłami opuszczając prawe poza pniak. Faktycznie, był to dorosły myszołów, którego teraz mogłem rozpoznać wyraźnie i przypuszczalnie miał złamane lub zwichnięte skrzydło. Po moim kolejnym kroku, nieszczęśnik z piskiem i sykiem odskoczył na bezpieczną w swoim mniemaniu odległość.

- Jak cię uratować mój skrzydlaty przyjacielu? – Zaczynałem mówić, jakbym chciał uspokoić przestraszonego ptaka.
- Nie mam złych zamiarów. Nie uciekaj.

Obchodziłem nieszczęśnika nieco z boku, kierując się w stronę rzeki chcąc zamknąć mu drogę ucieczki nad brzegiem, żeby nie wpadł w nurt będący dla niego śmiertelnym zagrożeniem.

Byłem już całkiem blisko zmęczonego ptaka i szykowałem swój płaszcz, którym chciałem nakryć przestraszone zwierze, aby zaoszczędzić mu stresu po schwytaniu, gdy stąpając na krawędzi skarpy moja noga obsunęła się i straciłem równowagę. Wymachując rozpaczliwie rękami odrzuciłem na bok płaszcz, który załopotał niczym ogromny czarny motyl, a opadając na trawę odsłonił sylwetkę wilka przyglądającego się całemu zdarzeniu. Jego oczy świeciły zielenią, puszysta płowa sierść falowała od lekkiego podmuchu wiatru wymuszonego ruchem skrzydeł myszołowa, który bez żadnego problemu poderwał się do lotu. Ja odpadałem od skarpy i leciałem w dół na plecy w czarną przepaść wiodącą do rzeki.

Zerwałem się na równe nogi. Ognisko dogasało pokryte białym popiołem, a ja łapałem orientację w świadomości. Świtało. Ptaki zaczynały budzić się po nocy nieśmiało próbując swoje głosy. Zebrałem swój ekwipunek i przerzuciłem przez plecy okrywając wszystko, póki co, płaszczem. Laska z trzygłowym zwieńczeniem dobrze leżała w dłoni, gdy wznosiłem ją w pokłonie przed zanurzeniem się w zielone głusze Puszczy. Wiedziałem w jakim kierunku zmierzam, nie wiedziałem jak daleko zawędruje, być może do Krainy Wielkich Jezior. Wiedziałem, że wyruszam szukać płowego wilka, który przyzywał mnie do siebie w nocnej marze, ale nie wiedziałem, czy go odnajdę i kogo spotkam. To był zew, którego nadejścia nasłuchiwałem i oczekiwałem.

Licho



Przemierzyłem szmat drogi od gościnnej osady i nareszcie mogłem przyznać, że byłem szczęśliwy. Trakt prowadził mnie na północ i północny wschód z wiatrem wiejącym przeważnie w plecy, który przynosił nocne deszcze chroniąc pola przed nadmierną spiekotą. Była pełnia lata rozśpiewana każdego poranka koncertem skrzydlatych wesołków i kojąca zapachem skoszonego siana.

Na noclegi wybierałem czasami domostwa w niewielkich osadach, gdzie za gościnę i odrobinę chleba z serem popijanym mlekiem odwdzięczałem się pomocą przy drobnych pracach gospodarczych, naprawie płotu, albo zwózce siana z pola przed nadciągającą burzą. Była to dość osobliwa przygoda, gdyż raczej nie wychodziłem poza obręb Puszczy, a tym razem coś mnie podkusiło aby przejść przez spory kawałek pól i łąk do najbliższego miasteczka, na targowisko. Nie miałem żadnych wielkich potrzeb, może poza chęcią pobycia między ludźmi i rozmowy przy garncu miodu albo piwa.

Zmierzając w kierunku zabudowań zorientowałem się, że od południa nadciągają ciemne chmury burzowe, przyspieszyłem więc kroku mając przed sobą pierwsze domostwa za szerokimi pasami łąk. W połowie drogi zauważyłem krzątające się trzy osoby przy załadunku siana na podstawiony wóz. Gdy się zbliżyłem poznałem po sylwetkach, że jest to mężczyzna, jak się potem okazało, z żoną i dorastającą córką, która siedząc na furze odbierała wiązki siana. Dziewczyna twarz miała umorusaną kurzem, włosy niesfornie wymykały się spod zapięcia płacząc się z sianem. Powitawszy się zrzuciłem plecak z płaszczem przy wozie i zawołałem do gospodarza, że pomogę, na co skinął tylko głową uśmiechając się nieznacznie pod szerokim wąsem. Był to postawny mężczyzna o silnych ramionach i szerokich plecach napinających się pod lekką koszulą przy każdym ruchu. Żona jego dość drobna kobieta, którą łatwo można było pomylić z nastolatką albo jego córką, starała się nie ustępować mu kroku. Praca będąca darem i powołaniem uszlachetnia ludzi, co dostrzec można było po nich. Uwijając się ile sił w nas było zdołaliśmy załadować wóz i podprowadzić pod wiatę domostwa niemal w ostatnim momencie, już przy porywach wiatru i coraz bliższych pomrukach nieba, które rozdarło się, gdy sami wbiegaliśmy ze śmiechem do sieni domu.

- Dziękuję za pomoc, sami nie zdążylibyśmy z sianem przed burzą. – Gospodarz przyjacielsko poklepał mnie po ramieniu.
- Nie ma za co. Byłem w pobliżu, to i pomogłem widząc taką potrzebę.
- Oj, jest. To nasz dobrobyt na zimę. Jak ci się odwdzięczymy?
- Niczego nie żądam w zamian, jedynie proszę o możliwość przeczekania burzy pod suchym dachem.
- W takim razie gościem naszym jesteś i zostań na kolację albo i noc do rana, bo widzę po ekwipunku, że w dalekiej drodze bracie jesteś.
- Dziękuję za łaskę gościny, a odpoczynku faktycznie mi potrzeba, bo tydzień już na szlaku wędruję.

Zostawiłem swoje tobołki w sieni i poszedłem za gospodarzem do obszernej wiaty na zapleczu domu, gdzie przy pompie studziennej zmyślnie osłoniętej przed deszczem obmyliłem się z kurzu pola. Kiedy zdejmowałem swoją koszulę wzrok mężczyzny zatrzymał się przez chwilę na srebrnym wisiorze Słonecznej Trójki, jaki nosiłem na piersi.

- Starej wiary jesteś wiernym nadal?
- Tak mnie wychowano i taką drogę wybrałem, gdy o tym decydować mogłem.
- Mało już takich.

Pokiwałem tylko głową z westchnieniem i przeszliśmy do jasnej izby, gdzie czekały już na nas garnce kwaśnego mleka i pajda pachnącego chleba żytniego grubo posmarowana świeżutkim masłem. Pieczywo wypiekane w piecu domowym na drewnie, a masło ubite z mleka pewnie z wczorajszego udoju było pieśnią, o której śniłem przez ostatnie noce w podróży, jak pochwaliłem ten skromny, a jakże wyśmienity posiłek. Gospodyni uśmiechnęła się i zapewniła, że kolacją będzie znacznie pożywniejsza. Ja jednak niczego więcej tak naprawdę nie oczekiwałem, znów dostawałem więcej niż się należało za to, co sam dawałem.

Burza przeminęła jeszcze przed wieczorem i gospodarz zaprosił mnie na obejście gospodarstwa, gdzie pochwalił się swoim warsztatem i zabudowaniami, które z własnego pomysłu zbudował. Z inwentarza posiadali niewielkie stadko owiec i jedną krowę, kończyli pokoje gościnne w przybudówce domu, dla wędrowców lub letników, którzy często w te okolice zaglądali szukając spokoju poza zgiełkiem świata. Wartościowe mleko pozwalało na produkcję

pysznego sera, który dość znacznie zasilał domową kiesę, co widać było po prowadzonych inwestycjach i przedsiębiorczym zacięciu mojego przewodnika.

Wieczorem, gdy siedzieliśmy przy stole dołączyła do nas córka gospodarzy, dotychczas nieobecna od powrotu z pola. Nie była już dzieckiem, czy nastolatką, choć pewnie nie przekroczyła jeszcze dziewiętnastu lat. Jej delikatne rysy podkreślały ciemne oczy i włosy barwy trudnej do określenia od płowej do kasztanowej. Raczej przysłuchiwała się odpowiadając tylko na pytania do niej skierowane, ale zauważyłem, że uważnie kontroluje rozmowę lustrując mnie nieco ukradkiem.

W czasie kolacji zaproponowałem pomoc przy rozładunku siana, gdyż i tak chciałem wybrać się do miasteczka, na co przystali z zadowoleniem gospodarze. Ulokowano mnie na noc w pokoju gościnnym, w części budowanej przy domu. Przed snem wyszedłem jeszcze spojrzeć w gwiazdzone niebo i nabrać wody ze studni dla ochłody po kilku solidnych szklanicach piwa wypitych przy wesołej rozmowie. Wracając natknąłem się na dziewczynę wyraźnie czekającą na mnie w przejściu do domku gościnnego. Zebrałem krople wody z twarzy i odgarnąłem włosy w tył głowy zatrzymany pytaniem.

- Jak jest w głuszy na szlaku?
- Teraz zielono i spokojnie.
- A samotność?
- Nie czuję jej.
- Nigdy?
- Przybliżyła się na tyle, że poczułem zapach jaśminu w jej włosach.
- Nigdy. – Odpowiedziałem zatrzymując jej drobną dłoń zbliżającą się do mojej twarzy.
- Teraz wiem, boisz się ludzi. – Wpatrywała się we mnie w skupieniu szukając potwierdzenia.
- Spójrz w me oczy. – Chwyciłem ją za rękę i obróciłem, aby światło padało na mnie. – Są jak studnia tam pod wiatą. Możesz wyczarować z nich nawet diabła, za którym w ogień wskoczysz albo tęsknotę jakiej nie ogarniesz.
- A miłość?
- Jedyne kurz z drogi i popiół ogniska, bo jesteś z tego świata.
- Cofnęła się o krok i ukryła twarz w cieniu poza światłem składając ręce.

- Przykro mi. – Wyszepiałem przechodząc obok niej w kierunku swojej kwatery.

Następnego dnia już do śniadania cały wóz siana został rozładowany i mogliśmy pojechać do miasteczka, gdzie uzupełniłem swoje zapasy oraz ekwipunek o nowy kociołek na ognisko. Gospodarze zrobili swoje zakupy i jeszcze przed południem wracaliśmy do gospodarstwa. Po obiedzie byłem gotów do drogi. Rodzina gospodarzy czekała na mnie przed werandą wejściową, gdzie się pożegnaliśmy.

- To wędrowiec. – Odezwał się mężczyzna obejmując córkę ramieniem. – Musi iść, tak jak ty z nami pozostać.

Odpowiedziałem uśmiechem i skierowałem się na wschód, w stronę zieleni rozciągającej się na horyzoncie. Będąc ponownie w lesie zdałem sobie sprawę, że wchodzę na tereny wilka. Ciemne świerkowe mateczniki zdawały się nie mieć końca. Zielona głusza poprzetykana była niewielkimi bajorami lub wysychającymi bagnami porośniętymi wysoką trawą. Ulubione miejsca wilczych watach. Obecność drapieźnika zdradzały ledwie widoczne w gęstym podszyciu tropy, którymi starałem się dalej wędrować. Byłem przekonany, że przechodzę obok gęsto porośniętego trzciniami stawu przygniecionego dwoma powalonymi dębami dającymi schronienie dla kilku światów leśnych stworzeń. Po kilku milach okazało się, że nie przechodziłem obok stawu, ale maszerowałem wzdłuż rzeki wijącej wśród zieleni sitowia. Ślady prowadziły mnie nadal w górę nurtu, aż do omszonego pnia przerzuconego między dwoma skarpami wąwozu. W tym miejscu był to zaledwie strumień, którego brzegi wznosiły się na kilka metrów w górę do naturalnej kładki będącej pod moimi stopami. Starałem się ostrożnie stąpać po zmurszałej powierzchni aby nie oberwać z niej kępy darni z korą, gdy usłyszałem szelest w zaroślach po drugiej stronie brzegu. Zatrzymałem się i spojrzałem w tamtym kierunku wypatrując jakiegoś ruchu. Było ponownie cicho. Już miałem zrobić następny krok, gdy zza kępy jeżyny owijającej się w okół przygłuszonego jałowca wyszedł szary basior. Zwierze zatrzymało się naprzeciw mnie przy końcu kłody. Obaj lustrowaliśmy się wzrokiem. Jego srebrno płowe futro było wyjątkowo gęste jak na lato, a z grzywą na karku delikatnie nastroszoną wyglądał dostojnie. Nie uciekał wzrokiem przed moimi oczami, nie było w nim lęku ani zaskoczenia, jakby czekał tutaj na mnie wabiąc wcześniej wyraźnym tropem. Mierzyliśmy się uparcie czekając, kto pierwszy odpuści i odejdzie, bo tak będzie musiał. On w swoją głuszę, albo ja na dalszą wędrowkę. Patrząc w oliwkowe ślepie przestawiłem stopę robiąc krok do przodu. W tym samym momencie wilk postawił łapę na brzegu pniaka, po którym przechodziłem w jego kierunku. Poczułem jak pod moim prawym

butem obsuwa się kępa mchu i odpada w dół, a ja wraz z nią lecę z rozpostartymi rękami na plecy w dno rzecznego wąwozu. Odbiłem się od skarpy i stoczyłem jeszcze niżej wadząc po drodze nogą o kamień ukryty pod łopianem i lądując w efekcie twarzą w wodzie. Zdołałem przesunąć się na bok wyciągając ciało ze strumienia. Do prawego podudzia ktoś przykładał rozpalone żelazo, a nad głową słyszałem donośne wycie przechodzące ze skowytu w szyderczy chichot.

– Licho wilcze... Tutaj na mnie czekało... – Wyszeptałem tracą przytomność.

Ostoja



Budziłem się i traciłem przytomność jeszcze kilka razy. Pamiętałem parsknięcia konia i kołysanie, gdy wszystko przesuwało się obok mnie. Pojedyncze drzewa, potem gęsty las świerkowy i znów jasne niebo z nielicznymi chmurami. Potem czerń jakiegoś pomieszczenia i ponowny mocny ból w nodze wpędzający mnie w głęboką ciemność. Słyszałem głos myszołowa, który zawsze towarzyszył mi we włóczędzie. Donośne zawołanie z przestworzy szarych o świcie. Dostrzegałem czasem zarys jego sylwetki na błękicie, gdy krążył dostojnie oblatując wszechświat swojego królestwa, albo prowadził mnie wzdłuż strumienia na kolejne wzniesienie i jeszcze dalej do następnej przełęczy ukrytej za zielonym marzeniem. Słyszałem jego pisk ostrzeżenia, kiedy myśliwi zbliżali się niebezpiecznie do mojego brata Jelenia, który nieszczęsny, rozpoznał ten głos za późno. Teraz ptak siedział spokojnie nad moją głową na brunatnej belce pod powałą ciemnej izby i w milczeniu przyglądał się kręcąc głową na boki jakby chciał mnie dokładnie obejrzeć, rozpoznać. Słyszałem też śpiew delikatnie kojący moje zmysły. Stara pieśń o wodnej nimfie i jej kochanku wędrowcy prawie już zapomniana odbijała się echem po izbie rozświetlanej czasem nikłymi kagankami, które choć niewielkie, mocno raziły moje źrenice. Wówczas delikatne dłonie przykrywały mi czoło i częściowo oczy delikatną tkaniną zwilżoną wywarem z rumianku. Czasem ktoś przytrzymywał mnie za rękę z czułością zupełnie inną niż matczyna, usuwając się w cień izby, gdy moje zmysły na chwilę przywracały mnie do rzeczywistości. Dostrzegałem wtedy jedynie zarys drobnej postaci w długiej sukni z twarzą i jasnymi włosami ukrytymi pod kapturem peleryny. Został zapach rumianku lub nagietka. Myszołów przesiadywał zazwyczaj na tej samej belce.

Teraz budziłem się powoli dostrajając wszystkie zmysły. Leżałem w pachnącej pościeli przykryty pięknie tkanym kocem pomimo trwającego lata, jak się domyślałem nadal panującego na tym kawałku ziemi. Miałem na sobie jedynie długą koszulę z szerokimi rękawami. Namacałem na piersi swój kuty wisior Słonecznej Trójki i delikatnie przyłożyłem go do swojego czoła wyczuwając materię opatrunków spowijających głowę. Podniosłem się delikatnie na łokciach lustrując wnętrze izby. Byłem sam. Jedną z nóg miałem usztywnioną, co boleśnie poczułem próbując usiąść na brzegu ogromnego łóża. Opadłem nieporadnie na posłanie sycząc bólem i mając przekleństwo pomiędzy zębami. Nie byłem w stanie rozpoznać do-

kładnie swojego stanu, zdałem sobie jednak sprawę, że jestem porządnie pogruchołany, ale dlaczego i w jakich okolicznościach się... Przed oczami stanął mi wilk ze ślepiami wpatrującymi się w moje oczy i kłoda, po której przechodziłem, a potem lot w zieloną przepaść...

– Wilcze lichy... – Wyszepiałem i zapadłem osłabiony w kolejną drzemkę.

Ponownie stałem nad brzegiem wartkiego strumienia ukrytego pośród bukowej gęstwiny. Nikłe promienie docierały do dna lasu przez gęste korony zamykające się zielonym sklepieniem nawet nad ruczajem. Poczułem jej obecność dopiero w momencie, gdy stanęła za moimi plecami i delikatnie objęła mnie w pasie przytulając się. Była znów tak blisko, że czułem jej zapach i ciepło. Wtuliła się we mnie jeszcze mocniej, gdy odwracając się objąłem ją ramionami. Ukryła się w połach mojej koszuli jeszcze nie dopiętej po orzeźwiającej kąpieli. Gładziłem jej włosy spadające na ramiona, a wiatr figlarnie rozwiewał moje starania wzmagając na sile im bardziej chciałem odsłonić jej twarz. Zacisnęła mocniej ręce w tym samym momencie, w którym uderzył w nas silny podmuch przedzierający się z szelestem przez listowie od strony ciemniejącego nieba prześwitującego w wyłomach zbitych koron, które rozrywały się na strzępy i odpadały na boki pod naporem kolejnych podmuchów. Żywioł szalał w około i niszczył wszystko, wrywał drzewa z korzeniami i rzucał nimi na daleką odległość. Wtuleni w siebie, w jednej chwili zostaliśmy kompletnie sami na pustyni ciemnej ziemi usianej głębokimi pieczarami pośrodku wirującego huraganu, który wymiatał każdą rzecz napotkaną na swojej drodze nam jednak nie czyniąc żadnej krzywdy, jakby tylko przechwalał się swoją mocą wobec naszej kruchości. Kłębowiska ciemnych chmur groźnie pomrukiwały czając się do kolejnego ataku. Zadrżała i podniosła głowę spoglądając uważnie w moje oczy.

– Boisz się? – Płakała.

– Boję się swojej miłości do ciebie.

– Zostawiamy jedynie spaloną ziemię w około siebie. – Mówiła szeptem pomimo zawieruchy. – Żywioły upomniały się o nas, a ty nadal mnie kochasz?

– Dziś nie odejdziesz, albo odejdę z tobą. – Zamknąłem jej usta pocałunkiem, który mógł być ostatnim pożegnaniem z nią, albo z całym światem ściskającym się dookoła w wichrowej obręczy.

Pomimo mocnego objęcia czułem, jak moje ręce rozrywają się za jej plecami i powoli odrywa się ode mnie targana przez wichry unoszący nas nad szarymi wzgórzami. Wirowa-

liśmy jeszcze przez chwilę targani wirem huraganu trzymając się za dłonie, aż puściły i te resztki nadziei. Mój krzyk zlał się z mocą wichury, której częścią byłem od zawsze dla samego siebie i dla niej, a teraz przejmowałem jej naturę i poleciałem w dół, wprost w otchłań nieznaną...

- Spokojnie, to tylko sen... – Żeński głos uspokajał zmysły, a dłoń delikatnie gładziła moje czoło poprzez chłodną tkaninę nasączoną znajomymi wonnościami.
- Senga... – wyszeptałem łapiąc za opiekuńczą rękę i prawie zrywając się z pośłania.
- Spokojnie, to tylko sen! – Usłyszałem dobitne powtórzenie i poczułem, że jestem delikatnie, ale stanowczo przyciskany do łożka.

Moja opiekunka pochylała się nade mną poprawiając pośłanie. Jej włosy muskały mnie po policzkach i zasłaniały widok, tak że ledwie dostrzegałem jej oblicze. Roztaczała wokół kojący zapach rumianku i jaśminu, tak mi bliskiego. Odgarnąłem niesforne kosmyki przytrzymując dziewczynę za rękę. Miała spokojne rysy i ciepłe spojrzenie błękitnych oczu pięknie oprawionych ciemnymi brwiami i wyjątkowo długimi rzęsami. Płowe włosy sięgały za ramiona mieniąc się i złocąc w świetle lampy i kominkowego płomienia.

- Dziękuję za opiekę. – Starałem się złapać oddech po koszmarze.
- Nie ma za co. – Uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Choć przyznam, że trochę jesteś pokiereszowany upadkiem w dół wąwozu.
- Faktycznie, bywało lepiej... – Skrzywiłem się, gdy ponownie w ułamku sekundy przemknęły mi przed oczami zimne wilcze ślepie.
- Nadal musisz odpoczywać, za tydzień – dwa staniesz na nogi.
- Jeszcze raz dziękuję... Za wszystko. – Próbowałem się uśmiechać, lecz wyszedł mi tylko grymas, gdyż poczułem niespodziewany skurcz w usztywnionej nodze, kiedy jednocześnie chciałem się poruszyć.

Jej uśmiech wynagrodził wszystko.

- Jak masz na imię? – Zapytałem przytrzymując nadal jej drobną dłoń.
- Kinra, Wędrowcze.

Kolejne dni miały na wzajemnym poznawaniu się i długich rozmowach przy ciepłym ogniu podtrzymywanym całymi dniami w otwartym palenisku kominkowym mogącym służyć zarówno do przygotowania posiłków na trójnożnym stojaku ustawionym w jego centrum,

oraz do ogrzewania pomieszczeń. Poruszałem się coraz sprawniej, choć nadal musiałem się wspierać na specjalnej lasce, a nie na swoim tryglawym kosturze wędrowca. Moja dobrodziejka gościła mnie i mieszkała w niewielkim drewnianym domu posadowionym w dość znacznej odległości od najbliższej osady, prawie w całkowitej leśnej głuszy. Zielarskie powołanie wiązała z obowiązkami strażniczki tej części Puszczy bacząc na przestrzeganie praw łowieckich. Dlatego zostawiała mnie na całe dni wyruszając na objazd swojego terenu, dzięki czemu wiedziała o wszystkim co się działo w okolicy i zdołała odnaleźć mnie nieprzytomnego nad brzegiem strumienia. Z dużym podziwem obserwowałem jej samodzielność i zaradność, zwłaszcza podczas zajęć typowo gospodarczych. Miała też specyficznego przyjaciela, którego w gorączce wziąłem za nierealną zjawę. Towarzyszył jej w życiowej wędrówce młody myszołów, którego podobnie jak i mnie znalazła rannego w lesie. Oswojony przesiadywał na belkach pod powałą domu, lub na okolicznych drzewach. Choć wrócił już całkowicie do zdrowia, to mimo niczym nie ograniczanej wolności pozostawał w pobliżu swojej wybawicielki zlatując czasem przywoływany na jej ramię osłonięte przed ostrymi szponami grubą rękawicą. Dostawał wówczas soczysty kęs świeżego mięsa, po czym sfruwał na swoją czatownię. Czasem wylatywał za panią i powracał wraz z nią późnym wieczorem, a niekiedy podrzucał na próg domostwa upolowaną tłustą mysz, jakby wdzięcząc się za okazane serce. Mnie obserwował z dystansu, ale dalece tolerował bacznie lustrując większość moich poczynań, a nawet nieco dalszych spacerów, kiedy przelatywał z drzewa na drzewo. Zawsze czujny i trochę nieufny, bardziej z natury swej niż z zuchwałości.

Tym razem uzdrowicielka wróciła dość wcześnie ze swojego objazdu i wizyty w miasteczku, i od samego przyjazdu zarzuciła mnie wieściami z okolicy. Dowiedziałem się o ujęciu podpalacza, który niszczył okoliczne uprawy, o śmierci właściciela stawów rybnych i jego kłopotach z bobrami, co to rzekomo przyczyniły się do jego wcześniejszego zejścia niszcząc systematycznie groble w jego gospodarstwie. Usiedliśmy na ławce przed domem. Kiedy dookończyła swojej opowieści spojrzała na mnie badawczo i zdecydowała:

- Zdejmujemy opatrunki z głowy. Nie powinny być już potrzebne.

Stanęła naprzeciw mnie, gdy nadal siedziałem i zaczęła powoli odwijać bandażę spowijającą dotychczas czubek mojej głowy. Kosmyki włosów wreszcie opadły luźno na ramiona uwolnione spod krępującej materii. Dziewczyna zaczęła przeczesywać czuprynę między palcami starając się zamaskować odrastający ubytek na zagojonej ranie nad prawą skronią. Była bardzo blisko, wyczuwałem jej ciepło i spokojny oddech. Coraz bliżej dotykała mnie

zapachem kojącego rumianku i siejącego niepokój wspomnień jaśminu. Przesunąłem dłoń po jej udach w górę, obejmując w talii. Nie wstrzymała tego i nie odstąpiła. Objęła mnie i pochyliła zakrywając naszych ust spotkanie zasłoną z falujących na delikatnym wietrze lnianych włosów. Przygarnąłem ją do siebie i mocno przytuliłem. Gubiąc oddech i przytomność ztracałem się dla niej i w niej z każdym kolejnym pocałunkiem, westchnieniem i spojrzeniem. Tym razem sam przestawałem istnieć pośrodku burzy, która spadła zniecka i owładnęła nami bez reszty. Wisiała i kłębiła się w powietrzu od wielu dni, a może miesięcy i lat kompletnie lekceważona przeze mnie w swoich objawach, ale nie była na wyciągnięcie ręki. Musiałem się po to doznanie wyprawić na krańce świata, do kompletnej głuszy i wrócić ożywiony jej dotknięciem.

- Może zaparzmy sobie herbaty? – spytała przerywając ust gonitwę.
- Dobry pomysł, ale niekoniecznie w tej chwili.
- W takim razie musisz mnie czymś zająć.
- Mam kilka propozycji. – Pokuśtykałem wsparty na jej ramieniu do wnętrza domu.

Plomienie z paleniska i kilku świec ustawionych w różnych częściach izby nastrojowo oświetlały pomieszczenie. Dołożyłem dwie szczapy i wróciłem na posłanie wyściełane owczymi skórami i tkanymi narzutami, pod którymi częściowo okryta na boku leżała Kinra. Jej nagie plecy kusiły do dalszej pieszczoty. Pocałowałem ją w splot pomiędzy łopatkami i delikatnie przytuliłem.

- Miałeś nie wstawać. – Zamruczała.
- Już się nigdzie od ciebie nie ruszę.
- Kłamiesz wędrowcze. – Odwróciła się do mnie.
- Przez jakiś czas. – Próbowałem ją pocałować, jednak uciekła z ustami.
- Wiedziałam...
- Kim jest ta, którą wzywałeś w gorączce? – Spytała po chwili, znów patrząc mi w oczy.
- Była zielonookim marzeniem... Niedościgłym złudzeniem, które wreszcie twoją postać przybrało.
- Wędrowiec i panna wodna jak ze starej pieśni... Nie mogę konkurować z jaryłowymi pannami. Jesteś tego pewien, że o mnie chodzi?
- Gotów jestem zaryzykować z tobą wspólnej włóczęgi.

Objęła mnie mocniej wciskając się w moje ramiona tak, że czułem każdy centymetr jej delikatnego i cudownie ciepłego ciała.

- Syn Szarego Wilka i brat Myszołowa we mnie i w moim domu... Kto by pomyślał...
- Kto by pomyślał, że dogonię marzenie wędrując za nieznanym przeznaczeniem...

Wędrowanie



Woda leniwie falowała obmywając większe kamienie wystające ponad powierzchnię i lśniła się w promieniach wiosennego słońca. Trawa jeszcze nie odrastała, nie było też rozwiniętego po zimie żadnego kwiecica, może poza drobnymi śnieżycami, które pokrywały część nadrzecznej łąki. Usiadłem na jednym z brzegowych głazów w miejscu nasłonecznionym i wygrzewałem się wpatrując w nurt w poszukiwaniu przepływających przez płycizny pstrągów. Ryby sprytnie omijały wszystkie przeszkody nabierając większych prędkości przed niewielkimi spiętrzeniami, które pokonywały niczym wodne strzały, albo chowały się na chwilę pod nadbrzeżne konary i niewielkie zatoczki. Wiatr roznosił zapachy wysychającej łąki zmieszane z dręczącym świdrowaniem w nosie wywołanym pyłkiem najwcześniej kwitnących drzew. Ciepło dnia wywabiło pszczoły z kilku uli ustawionych opodal w ogrodzie, które lądowały na mokrych kamieniach i spijały wodę zanosząc ją pracowicie do swoich gniazd, gdzie przybywało z każdym dniem pszczelej młodzieży.

Po długim okresie włóczęgi ponownie byłem w domu rodzinnym ukrytym na skraju miasteczka położonego w dnie malowniczej kotliny. Domy takie nie zmieniają się wiele, pory roku i ogrody wyznaczają tempo życia, aby się z niczym nie spóźnić. Ściany nie strącają kolorów, pozostają zawsze skromnie białe, jak pnie drzew wapnowane na wiosnę. Dachy nie straszą pstrokacizną i geometryczną zawiłością ciesielskiej sztuki, swoimi dwustronnymi spadami dostojnie nakrywają domowe pielesze ogrzewane żywym ogniem pielęgnowanym przez gospodarzy. Dopiero po nich czasem wprawne oko dostrzeże niewielkie zmiany, przybędzie kilka zmarszczek lub sylwetka nieco się pochyli, siwizną dostojną ozdobi się czoło, przerzedzi się jeszcze jesienią gruby warkocz. Czasem kogoś ubędzie lub przybędzie cała gromada wprowadzając zamęt i rozgardiasz w obejściu.

Wróciłem i mogłem wygrzewać się na ulubionym nadrzecznym kamieniu, wsłuchiwać w pierwsze ptasie trele; piłowania sikorek i wprawki głosowe Pana Kosa, który z rodziną mieszkał od tak dawna w naszym ogrodzie, albo przekazywał sobie to miejsce z pokolenia na pokolenie. Niebo było wyjątkowo błękitne, pozbawione jakiegokolwiek chmury koito zmysły. Nad zmrużonymi oczami przesunął się cień zakrywając na chwilę słońce. Spojrzałem za siebie w górę nurtu, gdzie siedziała również na kamieniu dziewczyna w turkusowej sukni

przepasanej plecionymi rzemieniami. Włosy mieniące się delikatnym złotem falowały na wietrze ukrywając oblicze dziewczyny. Nie miało to żadnego znaczenia. Poznałem ją od razu, choć nie spotkałem od tak wielu lat. Chciałem pobiec w jej kierunku i chwycić w ramiona, jednak zawahałem się, jak nigdy dotąd przy takim spotkaniu. Usiadłem wygodniej obserwując jak zanurza nieznacznie rękę w nurt i przelewa wodę między szczupłymi palcami, jakby masowała swoją dłoń lub głąskała fale. Nie byłem w stanie i nie mogłem dalej czekać na gest z jej strony. Wiedziałem, że muszę sam do niej podejść, ona już i tak wiele dla mnie zrobiła pojawiając się ponownie po tak długim czasie od ostatniego spotkania. Po dniach zamienionych na tygodnie bólu tęsknoty, na miesiące poszukiwań jakiegokolwiek znaku od niej, graniczące z obłędem szaleńca tropiącego ulotne marzenie, na lata wygaszania uczuć i namiętności, która pchała mnie wciąż w te same puste leśne ostępy i nad ruczaje, gdzie ukradkiem wyliczaliśmy sobie wspólne chwile pomiędzy pocałunkami, a czułym kołysaniem, byłem znów przy niej.

Nie odwróciła się, gdy przysiadłem tuż za nią i delikatnie pogładziłem po kosmykach włosów, które przytknąłem do twarzy czując zapach jaśminu. Przesuwałem dłonie na jej ramionach badając realność postaci ciesząc się, że nie jest tylko słonecznym albo sennym złudzeniem.

- Poznałeś mnie wędrowcze. – Uprzedziła moje powitanie.
- Nigdy nie straciłem cię z pamięci.
- Ale długo nie pisałeś dla mnie. – Odwróciła się obejmując mnie za szyję. – Myślałam, że zapomniałeś mnie dla ziemskiego szczęścia.

Zaczęła przeczesać moje skrócone włosy, tak jak zawsze odgarniając je w tył głowy. Wodziłem skronią i policzkiem za jej dłonią, którą przesuwiała po każdym centymetrze mojej twarzy, jakby rozpoznawała lub uczyła się jej rysów na nowo. Topiłem się ponownie w zieleni oczu przesłanianych pięknych rzęs wachlarzami. Czas zwalniał zatrzymując nurty strumienia i ptaków świergolenie w pół frazy.

- Kilka siwych włosów zdobyłeś w swej wędrowce.
- Ponoć dodają uroku.
- Nie prawda. Zabarwiłam je na zielono, to twój szczęśliwy kolor przecież.
- Dziękuję, że pamiętałaś...

- Tylko do jesieni takie będą...
- ...O mnie...
- Ty jednak nie pamiętałeś, co moje siostry tobie wieszczły.
Szukałem w pamięci fragmentu tego zdania, którym trzy wiły mnie naznaczyły i w opiekę zabrały.
- ...Wędrowania nigdy nie zakończysz dopóki ją kochasz prawdziwie...
- ...Choćby jedną strofę o niej wypowiesz życzliwie. – Dopowiedziałem, a dalej wspólnie w siebie wtuleni za sobą powtarzaliśmy:
- Doczekasz się spotkania w godzinie odpowiedniej, za wierność nagrodzony. Przyjdiesz pośród bohaterów legiony, gdzie ona oczekiwać na ciebie będzie z dumą tej, której od urodzenia jesteś przeznaczony.
Znów mogłem ją całować i trzymać w ramionach, pieścić delikatnie i zatracać się w jaśminowym odurzeniu, którego nigdy nie zapomniałem, a jedynie ukryć na dnie serca się starałem. Wydobyła to pragnienie ponownie sobie znanym tylko sposobem z pomocą uroku lub więzi przeznaczenia, którego mocą jesteśmy szczęśliwie spętani.
- Więc nadszedł ten czas, gdy przyszedł po mnie.
- Lękasz się?
- Tak... Swojej miłości do ciebie, która nigdy nie zgasła.
Zamknęła mi usta kolejnym pocałunkiem. Świat wirował, albo stał w bezruchu.
- Nie jest to jeszcze kres twojej wędrówki. – Przytuliła się siadając na moich kolanach.
Czułe milczenie, gdy wszystko jest powiedziane, a serca zjednane poniosło nas w dawne przestrzenie i nowe marzenia, mogąc trwać i wieczność, gdyby nie dobiegające z ogrodu dziecięce wołanie zbliżające się do brzegu rzeki.
- *Schowam się przed bezsilnością...* – Zaczęła recytować znajome mi strofy.
Ucieknę przed bólem serca.
Odejdę w zapomnienie czasu, który nie wróci.
A jednak prawdziwym i autentycznym tak bardzo być potrafi.

Ostatnie ust muśnięcie zostawiło jej łzę na moim policzku. Powstała i powoli odeszła w dół rzeki w stronę niewielkiego mostku. W tym samym momencie od strony brzegu dobiegł do mnie kilkuletni chłopiec oglądający się za zwiewną postacią znikającą w cieniu mostowego filaru.

- Kto to był, ta pani? – Zwrócił na mnie swe oczy, jak gwiazdy ciekawskie lśniąco.
- Panna Wodna. – Pogładziłem malca po czuprynie.
- Tato, znasz Rusałkę!? Taką prawdziwą!?
- Yhmmm... Nie jedną.

Promieniał z radości i w momencie popędził na brzeg i przez ogród z głośnym wołaniem:

- Mamo, mamó! Tato rozmawiał z Rusałką nad rzeką!
„No i po mojej tajemnicy” pomyślałem z uśmiechem wychodząc z rzecznej doliny. Kinra stała przy nadal uśpionym ogrodzie różanym i obserwowała, jak się do niej zbliżałem.
- Cóż to, razem zaczynacie gonić, to samo zielonookie marzenie?
- Widać takie przeznaczenie...
- Chłopcy, chłopcy, wieczni wędrowcy... – Przyjrzała się mi dokładnie. – Od kiedy zaczęsujesz włosy w tył głowy?
- Tak jakoś się ułożyły... Na chwilę albo wiosnę, którą wreszcie dzisiaj ponownie poczułem.

W tekście wykorzystano fragment wiersza pt. „Przyjaźń wędrowca” autorstwa Agnieszki Mrówka.

